

Powiat



Nr 11-12 (117-118), Październik-Grudzień 2010
Rok X * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI



Nowe władze powiatu

Kadencja była ciekawa

Polskie krzyże

Zagubiony etos

Czar – Pasterka

Moja biblioteka

Europa po europejsku

Słupski Kolekcjoner

Wieś Tworząca

I SESJA NOWEJ RADY

2 GRUDNIA 2010





Drodzy Czytelnicy!

Pragnę serdecznie podziękować za wybranie mnie do nowej rady powiatu i ponownie na starostę słupskiego. Dziękuję wszystkim za oddane głosy. Dziękuję za wspólne spotkania podczas kampanii wyborczej, za ciekawe pytania, rozmowy, a także za krytykę. Zaufanie, jakim zostałem obdarzony jest wielkim zobowiązaniem i mobilizacją do dalszego działania. Postaram się nadal spełniać oczekiwania moich wyborców. W swojej codziennej pracy będę robił wszystko, aby mieszkańcom powiatu słupskiego żyło się łatwiej i lepiej. Mam pełną świadomość, czym jest ten wybór i jakie trudne zadania stoją przed nami.

Jednym z ważniejszych wyzwań będzie z pewnością reforma oświatowa. Dzisiaj, w dobie mocno odczuwalnego niżu demograficznego, będziemy musieli nasze placówki oświatowe tak przeorganizować, by były bardziej ekonomiczne i mogły świadczyć usługi edukacyjne co najmniej na takim samym poziomie. W nowej kadencji będziemy kontynuowali wspólne finansowanie inwestycji drogowych. Z samorządami gminnymi nadal będziemy chcieli realizować projekty unijne, organizować imprezy kulturalne, gospodarcze, sportowe, wspólnie się promować.

Bardzo bym chciał, aby udało nam się odbudować i naprawić jak najwięcej dróg powiatowych, zrealizować inne inwestycje. Główną moją ideą jako starosty było i jest ciągle polepszanie warunków życia mieszkańcom powiatu słupskiego. Będę się starał, aby wszystko, za co odpowiada powiat, miało się jak najlepiej.

Cieszę się, że przez kolejne cztery lata będziemy mogli dalej wprowadzać korzystne zmiany. Liczę na owocną współpracę i mam nadzieję, że zarówno mnie, całemu zarządowi, jak i nowej radzie będzie się dobrze pracować dla naszego powiatu.

Na nadchodzące święta Bożego Narodzenia życzę wszystkim rodzinnego ciepła, wiary i wzajemnej życzliwości. Chciałbym, żeby każda świąteczna chwila żyła własnym pięknem, a Nowy Rok obdarował nas szczęściem, pomyślnością i spełnieniem wielu marzeń.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 842 54 17, fax 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładkach: Kolędnicy z Powiatowego Konkursu Kolęd i Pastorałek w Jezierzycach; zabawa na śniegu w Słupsku.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

Ryszard Stus ponownie wybrany przewodniczącym Rady Powiatu,	
Sławomir Ziemianowicz - starostą,	
a Andrzej Bury - wicestarostą	4
Duże zmiany w Radzie Powiatu	4
Kadencja była ciekawa	6
Cząstka wielkiej mapy postępu	7
Złota rocznica	8
Na wielu płaszczyznach	9
Uroczyste obchody	9
Licznie wyróżnieni	10
Powstało Technikum Akademickie	10
Było w czym wybierać	11
U niemieckich pszczelarzy	11
Niektórzy podjęli już naukę lub pracę	12
Program Spójności zaktualizowany	12
Moja rola polega na dobrym kierowaniu	14
Skrzydlate piękności	16
Polskie krzyże	17
Zagubiony etos	18
Czar - Pasterka	21
Zatracamy wolność i tożsamość	22
Pani Teresa	23
Moja biblioteka	24
Ostatni Słowińcy to byli moi bliscy sąsiedzi	28
Kiedyś byliśmy dziećmi	29
W paryskim miasteczku	31
Europa po europejsku, czyli wybrane z życia	32
Pod żaglami (nie tylko) Zawiszy...	34
Od złota do złotej świni	35
Niech powstanie album	36

Dużo szczęścia, ciepła rodzinnego,

zdrowia na nadchodzące święta

Bożego Narodzenia i Nowy 2011 Rok

życzy Czytelnikom

zespół Powiatu Słupskiego



Ryszard Stus ponownie wybrany Sławomir Ziemianowicz – starosta

Pierwszą sesję IV kadencji Rady Powiatu Słupskiego zdominowały wybory najważniejszych władz.

Przewodniczącym Rady został ponownie Ryszard Stus. Funkcję starosty po raz pierwszy w historii powiatu drugą kadencję będzie pełnić Sławomir Ziemianowicz, również ponownie wicestarostą będzie Andrzej Bury

Do chwili wyboru przewodniczącego rady, obrady prowadził Edward Sasko, najstarszy wiekiem radny. Pierwszym punktem porządku było uroczyste ślubowanie, które złożyło 20 członków nowej Rady. Nie był obecny Jan Olech, który złożył formalny wniosek o rezygnację z mandatu radnego z powodu objęcia stanowiska burmistrza Ustki. Po odczytaniu roty ślubowania, większość członków nowej rady po słowie „ślubuję” dodawało „Tak mi dopomóż Bóg”.

Po tej podniosłej chwili odbył się wybór przewodniczącego. Na kandydatów zgłoszono Ryszarda Stusa z Samorządności Powiatu Słupskiego oraz Andrzeja Kordylasa z Porozumienia Samorządowego Ziemia Słupska. Na Ryszarda Stusa głosowało 11 radnych, 6 było przeciw. Andrzej Kordylas otrzymał 6 głosów, 9 radnych było przeciw.

Po ogłoszeniu wyników wyborów prowadzenie sesji objął nowy przewodniczący, który podziękował za zaufanie i zobowiązał się do pełnienia swojej funkcji z największym zaangażowaniem i wykorzystaniem doświadczenia z poprzedniej kadencji. Ryszard Stus zaproponował zmiany w porządku obrad i uzupełnienie go o wybór starosty i wicestarosty słupskiego, ustalenie wynagrodzenia starosty na nową kadencję i zrzeczenie się mandatu przez Jana Olecha. Po burzliwej dyskusji (głównym autorem był Paweł Gonera popierany przez Magda-



Fot. J. Maziejuk

lenę Gryko), przegłosowano wniosek wprowadzający zmiany w przebiegu sesji.

- Wszyscy wiemy, jakich wyborów dokonuje się na początku kadencji. Nie powinno być więc żadnego problemu. Radni nie powinni być zdziwieni takimi przebiegiem sesji - studził emocje Sławomir Ziemianowicz.

Wszystkie głosowania przeprowadziła powołana Komisja Skrutacyjna w skła-

Duże zmiany w Radzie

W wyniku wyborów samorządowych na 21 miejsc w Radzie Powiatu Słupskiego 12 zajmą nowi radni powiatowi

O mandaty w Radzie Powiatu ubiegały się cztery komitety wyborcze: KW Platforma Obywatelska zdobyła 30,55 proc. głosów, KW Prawo i Sprawiedliwość - 6,88 proc., KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska - 35,14 proc., KWW Samorządność Powiatu Słupskiego - 27,43 proc. Najwięcej głosów ze wszystkich kandydatów do rady otrzymał obecny starosta słupski Sławomir Ziemianowicz, na którego głosowało 1467 wyborców.

Radnymi powiatu słupskiego z okręgu nr 1 zostali wybrani: Andrzej Kordylas (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Walentyna Małek (KW Platforma Obywatelska RP), Barbara Zawadzka (KWW Samorządność Powiatu Słupskiego); w okręgu nr 2: Paweł Gonera (KWW Porozumienie Sa-

morządowe Ziemia Słupska), Ewa Lewkowicz (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Edward Sasko (KWW Samorządność Powiatu Słupskiego), Arkadiusz Walach (KW Platforma Obywatelska RP), Andrzej Zawada (KW Platforma Obywatelska RP); w okręgu nr 3: Ireneusz Bejnarowicz (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Marcin Białas (KW Platforma Obywatelska RP), Zbigniew Kamiński (KWW Samorządność Powiatu Słupskiego), Zdzisław Kołodziejski (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Ryszard Stus (KWW Samorządność Powiatu Słupskiego); w okręgu nr 4: Magdalena Gryko (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Lidia Rynda (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Andrzej Wojtaszek (KWW Samorządność Powiatu

przewodniczącym Rady Powiatu, tą, a Andrzej Bury – wicestarostą



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

dzie: Zbigniew Kamiński, Barbara Zawadzka, Ewa Lewkowicz i Ireneusz Bejnarowicz. Bardzo sprawnie poradziła sobie z przygotowaniem kart do głosowania i sporządzeniem protokołów wyborów.

Przed wyborem starosty wszyscy mogli zadawać kandydatowi pytania. Paweł Gonera powiedział, że chciałby deklaracji, że wszystko co jest zapisane w projekcie

budżetu zostanie zrealizowane, a głównie chodziło mu o inwestycje. Starosta odpowiadając, zapewnił, że jest świadomy pracy, jakiej się podejmuje.

Wyborcy pokazali w swoim głosowaniu, że ufają wykonanej do tej pory przez mnie pracy - mówił S. Ziemianowicz. - Wiem, że czekają nas ciężkie czasy, ale wiele wskazuje na to, że powierzone nam zadania

wykonamy. Mam nadzieję, że wspólnymi siłami zdołamy dobrze zarządzać powiatem.

Sławomir Ziemianowicz został ponownie wybrany starostą słupskim. W tajnym głosowaniu otrzymał 13 głosów „za”, przeciw było 5 radnych, 1 osoba wstrzymała się od głosu. Po wyborze starosta powiedział: - Dziękuję wszystkim, którzy na mnie głosowali. Postaram się spełnić Państwa oczekiwania, o ile będzie to możliwe. Zobowiązanie to składam nie tylko wobec tych, którzy mnie popierają, ale również wobec opozycji. Moja deklaracja jest jednocześnie odpowiedzią na pytanie Pawła Gonery. Mam świadomość, czym jest ten wybór. Nie jest to tylko przyjemność, ale przede wszystkim wielkie zobowiązanie. Z pełną świadomością chcę powiedzieć, że wiem, jakie czeka mnie zadanie w nowych warunkach finansowych, które zaczną obowiązywać od 2011 roku.

Wicestarostą został ponownie Andrzej Bury z KWW Samorządność Powiatu Słupskiego. Jego kandydaturę poparło 16 z 18 radnych.

Po zakończeniu wyborów przegłosowano uchwały w sprawie: wyboru starosty, wyboru wicestarosty, ustalenia poborów starosty oraz zrzeczenia się mandatu radnego przez burmistrza Ustki.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Powiatu

Słupskiego), Sławomir Ziemianowicz (KW Platforma Obywatelska RP); w okręgu nr 5: Andrzej Bury (KWW Samorządność Powiatu Słupskiego), Bogumiła Lenard (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Jan Olech (KWW Porozumienie Samorządowe Ziemia Słupska), Barbara Podruczna-Mocar-ska (KW Platforma Obywatelska RP).

W wyniku wyborów na wójtów i burmistrzów Leszek Kuliński nadal będzie rządzić w gminie Kobylnica, Mariusz Chmiel w gminie Słupsk, Anna Sobczuk-Jodłowska w gminie Ustka i Eugeniusz Dańczak w Dęb-nicy Kaszubskiej. W Główniczach wygrała w pierwszej turze obecna wicewójt Teresa Florkowska. Zmiana nastąpiła też w gminie Damnica, gdzie Grzegorz Jaworski pokonał w pierwszej turze obecną wójt Marię Janusz.



Fot. J. Maziejuk

W pierwszej turze w gminie Smołdзино wygrała Lidia Orłowska-Getler. W Ustce nadal funkcję burmistrza będzie sprawować Jan Olech. W drugiej turze wyborów w gminie Kępice Magdalena Gryko wygrała z obecnym burmistrzem Piotrem Mazurem, a w gminie Potęgowo obecny wójt Jerzy Awchimi-ni wygrał z Henrykiem Dąbrowskim.

Jan Olech zrzekł się mandatu radnego i jego miejsce w radzie zajmie kandydat z tej samej listy - Piotr Wszółkowski. Magdalena Gryko, jeśli zrzeknie się mandatu, zastąpi Stanisław Gośławski.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

Kadencja była ciekawa

*Ostatnia
w trzeciej
kadencji sesja,
9 listopada br.,
miała nieco
odmienny
charakter. Były
podsumowania,
podziękowania.
Padło wiele
ciepłych
słów*

Sprawozdanie z pracy Zarządu starosta Sławomir Ziemianowicz rozpoczął od podsumowania czteroletniej pracy radnych. - Kadencja 2006-2010 była ciekawa dla organu wykonawczego, a rada w swojej pracy wykazała bardzo dużo ambicji i wyrozumiałości. Dobrze się nam współpracowało, a stanowisko radnych odbierałem jako zaufanie do Zarządu. Mimo że były słowa krytyki i sprzeciwu, wszyscy zmierzaliśmy w ściśle określonym kierunku. Udało nam się dużo spraw załatwić, niemniej do zrobienia pozostało jeszcze wiele. Nie chciałbym dzisiaj mówić o tym, czego dokonaliśmy, bo lista jest bardzo długa i bogata, ale o tym, co należy zrobić w kolejnej kadencji. Wszyscy, którzy startują w tych wyborach samorządowych, będą musieli zająć się wieloma sprawami, a przyszła droga na pewno nie będzie łatwa, bo oczekiwania są coraz większe. Wielkim wyzwaniem dla przyszłej Rady i Zarządu będzie funkcjonowanie w nowych warunkach finansowych - dużych ograniczeniach związanych z usztywnieniem budżetu czy zniesieniem możliwości zaciągania kredytów. Będzie to jednak kadencja szans, gdyż w dalszym ciągu będzie możliwość pozyskania środków unijnych i krajowych. Zaplanowane inwe-



Fot. J. Maziejuk

stycje drogowe i reforma usteckich szkół to najważniejsze zadania na kolejne lata - mówił Sławomir Ziemianowicz. - W imieniu swoim i Zarządu chciałbym serdecznie po-

bez fanfar i wstęgi



Fot. J. Maziejuk

Częstka wiel

*Prezydent Bronisław Komorowski
otworzył obwodnicę Słupska*

Trasa, która jest nowym odcinkiem drogi krajowej nr 6 Szczecin - Gdańsk, faktycznie została udostępniona 26 października br. W wyjątkowej uroczystości dla regionu słupskiego (29.X) prezydentowi towarzyszył minister infrastruktury Cezary Grabarczyk, wojewoda pomorski Roman Zaborowski, marszałek Mięczyśław Struk oraz wielu powiatowych, miejskich i gminnych samorządowców.

Bronisław Komorowski powiedział, że ta inwestycja to częstka wielkiej mapy postępu, wielkich, mądrych inwestycji na terenie całej Polski. - Nie będzie dzisiaj żadnego uroczystego przecinania wstęgi, jest to uroczystość nie tyle otwarcia tej obwodnicy, ile wspólnej radości, że sprawy poszły

w dobrą stronę, że jest ukończone ważne dzieło - dodał prezydent.

Obwodnica omija Słupsk od strony południowej. Konsorcjum spółek Strabag i Wako budowało ją przez dwa lata. Nadzór nad robotami sprawowała firma Arcadis. Inwestycja kosztowała 435 mln zł. Pieniądze na jej budowę pochodziły z Krajowego Funduszu Drogowego. Obwodnica ma długość 16,3 km. Została wykonana w standardzie drogi ekspresowej. Powstały na niej 34 obiekty inżynierskie, w tym ok. 180-metrowy most nad rzeką Słupią oraz cztery bezkolizyjne węzły drogowe Reblinko, Kobylnica, Głobino i Redzikowo. Na węźle Kobylnica trasa przecina się z drogą krajową nr 21 Miastko - Ustka. (M.M.)

Fot. J. Maziejuk

dziękować wszystkim, z którymi mieliśmy przyjemność pracować. Uważam, że trudno z tej kadencji być niezadowolonym, bo to był dobry okres dla powiatu, starostwa i wszystkich jednostek organizacyjnych, gdzie widać dużo pozytywnych zmian. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za współ-

Województwa Pomorskiego, Anna Sobczuk-Jodłowska, wójt gminy Ustka i Marek Biernacki, radny sejmiku województwa. Ryszard Stus, przewodniczący Rady dziękując radnym, staroście Sławomirowi Ziemianowiczowi, wicestaroście Andrzejowi Buremu i sekretarz Irenie Tkaczuk-Kawalerowicz za

pracę na rzecz powiatu słupskiego, wręczył wszystkim okazjonalne albumy i pamiątkowe zdjęcie z przedostatniej sesji.

Robocza część sesji przebiegała według stałego porządku. Radni jednogłośnie podjęli wszystkie zaproponowane przez Zarząd projekty uchwał. Sławomir Ziemianowicz przedstawił sprawozdanie Zarządu z działalności w okresie od poprzedniej sesji. Najważniejszym zadaniem w tym okresie było przygotowanie projektów uchwał, głównie budżetowych, które pozwolą na sprawne funkcjonowanie do chwili ukonstytuowania się nowej rady.

Radni przegłosowali uchwały w sprawie: przyznawania wyróżnień i nagród za

wysokie wyniki sportowe w międzynarodowym lub krajowym współzawodnictwie sportowym; szczegółowych zasad, sposobu i trybu umarzania, odraczania lub rozkładania na raty spłaty należności pieniężnych mających charakter cywilnoprawny przypadających powiatowi słupskiemu oraz jego jednostkom podległym; zawarcia umowy partnerskiej dotyczącej realizacji projektu pt. „Termomodernizacja budynków użyteczności publicznej z terenu powiatu słupskiego” w ramach Programu Priorytetowego System Zielonych Inwestycji (GIS) - zarządzenie energią w budynkach użyteczności publicznej; zawarcia umowy pomiędzy Powiatem Słupskim a Gminą Kobylnica dotyczącej przebudowy drogi powiatowej nr 1170G Kwakowo - Lubuń. Zawarcie umowy partnerskiej związane jest z przygotowaniem wniosku o dofinansowanie z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Z uwagi na to, iż koszt przedsięwzięcia nie może być niższy niż 10 mln, powiat będzie realizował projekt w partnerstwie z gminami: Darnica, Kobylnica i Słupsk. Radni zgodzili się także na dofinansowanie paliwa dla policji oraz pomoc dla strażaków z Korzybia, którzy uczestniczyli w akcji ratowania poszkodowanych w katastrofie kolejowej. Nie było również żadnego głosu sprzeciwu przy podejmowaniu uchwał dotyczących zmian w budżecie i zatwierdzenia wydatków niewygasających.

Maria Matuszewska

**Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy
w Starostwie Powiatowym w Słupsku**

pracę i życzę wszystkiego najlepszego.

Z okazji zakończenia kadencji za wyjątkowo dobrą współpracę podziękowali także: Wiesław Kamiński, członek Zarządu

kiej mapy postępu





W Sali
Lustrzanej
pałacu
w Damnicy
podpisano
umowę
partnerską
o współpracy
powiatu
słupskiego
z powiatem
bełchatowskim

Fot. J. Maziejuk

Złota rocznica

Liceum Ogólnokształcące im. M. Kopernika w Ustce obchodziło jubileusz 50-lecia

Pomysł założenia usteckiego liceum zrodził się w 1959 roku, kiedy w Polsce ruszała szczytna akcja „Tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego”. 15 września 1960 roku wmurowano w fundamenty powstającej placówki kamień węgielny, a wraz z nim akt erekcyjny następującej treści: „Postanawiamy zbudować i przekazać naszej młodzieży szkołę - pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego. Dajemy tym wyraz swej gorącej miłości i przywiązania do ziemi słupskiej”.

Pierwsza młodzież rozpoczęła naukę 1 września 1960 roku jeszcze pod dachem gościnnej Szkoły Podstawowej nr 1. Tak było do 4 listopada 1962 r., kiedy to oddano do użytku pachnący świeżością wspólny budynek szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego przy ulicy Wróblewskiego. Wkrótce dobudowano salę gimnastyczną. Pierwszym dyrektorem nowej placówki został Bronisław Piekarski. W trzecią rocznicę,



Fot. Z. Skibiński

jubilat z problemem

Na wielu płaszczyznach

- Nic nie jest kwestią przypadku i nie jest przypadkiem, że w tym historycznym miejscu tworzymy nową historię. Umowę podpisujemy w wyjątkowym dniu, kiedy w dacie występują trzy dziesiątki, a cyfra dziesięć oznacza mądrość. Taka data zdarza się raz na dwieście lat. Nie jest też przypadkiem, że znakiem i maskotką powiatu słupskiego jest sowa, będąca symbolem mądrości, którą daje się zauważyć w kierowaniu powiatem. Kolejnej tak samo mądrej i roztropnej kadencji życzę mojemu przyjacielowi Sławkowi - powiedział Jarosław Brózda, starosta bełchatowski.

- Dzisiejsza uroczystość podpisania umowy jest już tylko formalnością. Od chwili podjęcia uchwał o woli nawiązania współpracy przez rady powiatów w czerwcu ubiegłego roku spotykaliśmy się już wielokrot-

nie. W czasie wzajemnych wizyt poznaliśmy uroki i kulturę obu regionów, nawiązaliśmy więzi, które powinny zaowocować długoletnią, dobrą współpracą na wielu płaszczyznach. Cieszy mnie fakt, że podjęta współpraca ma dobry grunt, a nasze regiony stają się sobie coraz bliższe. Najważniejsze, aby wspólne działania przyniosły znaczne korzyści obu powiatom - podkreślił starosta słupski Sławomir Ziemianowicz.

Uchwałę o woli nawiązania współpracy radni słupscy podjęli 29 września, a bełchatowscy 9 czerwca 2009 roku. Podpisana umowa (9.X) dotyczy wzajemnej współpracy w dziedzinie: turystyki, kultury i sztuki, szkolnictwa, informacji, ochrony zdrowia, opieki społecznej, ochrony środowiska, kultury fizycznej i sportu oraz gospodarki. Wolę tę podpisujące strony wyraziły

w preambule: „Kierując się wolą przyjaźni i współpracy pomiędzy mieszkańcami powiatu słupskiego i powiatu bełchatowskiego, świadomi, że współpraca przyczynia się do szerokiej promocji walorów naturalnych i cywilizacyjnych, wzbogacania kultur lokalnych, połączonych wspólnym rodowodem kultury narodowej, sprzyja wzajemnemu poznaniu i nawiązaniu dobrych stosunków społeczności lokalnych, przeświadczeni, że rozszerzanie i pogłębianie współpracy w wielu dziedzinach służyć będzie rozwojowi kulturowemu i gospodarczemu obu regionów oraz umożliwi budowanie trwałych i głębokich więzi społecznych w naszych regionach”.

Maria Matuszewska

Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

4 listopada 1965 roku liceum otrzymało sztandar, szkole nadano imię Mikołaja Kopernika. 18 maja 1964 roku odbył się pierwszy w historii LO egzamin dojrzałości. Maturę zdało 26 uczniów i prawie wszyscy ukończyli później studia wyższe.

1 kwietnia 1978 roku funkcję dyrektora szkoły objął Józef Wróblewski. Od 1986 roku sprawowała ją Jadwiga Strońska, a od 1992 po dzień dzisiejszy kieruje nią Barbara Kołakowska. W roku 1994 rozpoczęto działania zmierzające do budowy nowego, osobnego obiektu dla liceum. 1 września 1998 uczniowie otrzymali w darze przepiękny nowy budynek przy ulicy Bursztynowej, sfinansowany przez Kuratorium Oświaty w Słupsku i samorząd ustecki. 2 września 1999 roku szkole nadano nowy sztandar.

Dzisiejsze usteckie liceum jest nadal jedynym w powiecie słupskim, ma bardzo dobre warunki do nauki, jest szkołą, w której wszyscy uczniowie zdają maturę, która prowadzi bogatą wymianę międzynarodową, niestety, z powodu niżu demograficznego ma coraz mniej uczniów. I to jest dzisiaj dla władz powiatu największy problem.

Warto dodać, że usteckie liceum w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ub. wieku, kiedy w Słupsku nie było jeszcze wielu szkół prywatnych i społecznych, umożliwiała naukę młodzieży z podłupskich wsi i samego Słupska, która nie dostała się do miejskich ogólniaków i techników. W latach siedemdziesiątych miało nawet po dwie klasy takiej młodzieży! **(A.P.)**



Fot. J. Maziejuk

Uroczyste obchody

Gromadzący się tłumnie pod pomnikami, na rynkach i placach całej ojczyzny Polacy uczcili 92. rocznicę odzyskania niepodległości

Słupskie uroczystości rozpoczęły się mszą świętą w intencji Ojczyzny w Kościele Mariackim. Po modlitwie uczestnicy mszy przeszli na Plac Zwycięstwa pod pomnik Żołnierza Polskiego, gdzie złożono kwiaty, odbyła się uroczysta defilada, apel poległych i salwa honorowa.

Usteckie obchody rozpoczęły się mszą świętą w Kościele pw. Najświętszej Marii Panny Gwiazdy Morza. Po na-

bożeństwie wszyscy przeszli pod pomnik Państwa Podziemnego 1939-1945. Tu też złożono wieńce i kwiaty. W Domu Kultury odbyło się spotkanie władz samorządowych z kombatanami i harcerzami.

Mimo kapryśnej, typowo listopadowej pogody, w uroczystościach wzięło udział wiele osób, w tym sporo młodzieży. **(A.P.)**



Licznie wyróżnieni

Liczna grupa nauczycieli z powiatu została w tym roku uhonorowana nagrodami z okazji Dnia Edukacji Narodowej

Wśród odznaczonych za Długoletnią Służbę znaleźli się: Witold Górąjek (Medal Złoty), Maria Perz (Medal Srebrny) i Dorota Kozłowska (Medal Brązowy). Medale Komisji Edukacji Narodowej trafiły w ręce Jolanty Wójtowicz i Klaudii Sołoduch. Nagrodą Ministra Edukacji Narodowej uhonorowano

Barbarę Kołakowską, a nagrodę Pomorskiego Kuratora Oświaty przyznano Mariannie Matias, Elżbiecie Szczypek i Monice Dymek.

Nagrodami Starosty Słupskiego wyróżnieni zostali: Izabela Kramarczuk, Małgorzata Ossowska, Renata Szanter, Dagmara Jendrejczak, Zenobia Dąbrowska,

Małgorzata Michalska, Anna Garbicz, Danuta Stępień, Mateusz Melewski i Piotr Frejtak. Wyróżnieni nauczyciele pracują w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Mikołaja Kopernika w Ustce, Zespole Szkół Technicznych w Ustce i w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku. **(M.M.)**

Powstało Technikum Akademickie



Pierwsze w Polsce Technikum Akademickie zainaugurowało swoją działalność w Słupsku

Ta nowa placówka edukacyjna, której powołaniu przyświecała idea promowania kształcenia technicznego już na poziomie szkoły średniej i rozwijania talentów młodzieży uzdolnionej technicznie, o ukształtowanym wy-

borze kierunku dalszej nauki na dalszych studiach, powstała przy słupskiej Wyższej Szkole Inżynierii Gospodarki - jednej z dwu, obok Politechniki Gdańskiej, uczelni technicznych w województwie pomorskim.

Technikum kształci młodzież na kierunkach Geodezja i kartografia, Architektura krajobrazu oraz Informatyka. Prof. dr hab. Andrzej Hopfer, rektor WSIG, zapowiedział, że w następnych latach planowane jest poszerzenie profilu nauczania. Wśród grona profesorskiego nowej placówki są nauczyciele z tytułami naukowymi i stażem pracy na uczelniach wyższych.

Pierwszy rok nauki rozpoczęło w niej 85 uczniów. Ponad połowa pochodzi z okolicznych gmin. Tak wysokie zainteresowanie zdaje się świadczyć nie tylko o atrakcyjności kierunków kształcenia, ale również o renesansie zawodów technicznych.

W uroczystości otwarcia Technikum i inauguracji pierwszego roku nauki uczestniczył poseł Zbigniew Konwiński, prezydent Maciej Kobyliński, przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego Ryszard Stus, wielu działaczy oświatowych, także szczebla wojewódzkiego, oraz spore grono rodziców. **(A.R.)**

Było w czym wybierać



Fot. J. Maziejuk

Fot. M. Matuszewska

Organizatorzy Targów Ogrodniczych w Strzelinie trafili w dziesiątkę. Słoneczna pogoda sprawiła, że przez tereny targowe przewinęło się kilka tysięcy osób

Wystawcy nie kryli radości z tak dużej ilości kupujących, a goście z bogatej i różnorodnej oferty. Było w czym wybierać, na stu czterdziestu stoiskach oferowano wszystko dla działkowców i ogrodników, można było zaopatrzyć się w sadzonki drzewek i krzewów owocowych, kwiatów, krzewów ozdobnych oraz nasion i cebulek. Sprzedawano także sprzęt ogrodniczy, meble i akcesoria ogrodowe. Mieszkańcy Słupska i okolic nie tylko chętnie kupowali rośliny ozdobne, ale także ziemniaki, warzywa i owoce. W czasie dwudniowej imprezy zorganizowano konferencję na temat drzew przydomowych, wystawę owoców odmian tradycyjnych, różne konkursy, a atrakcją targów były pokazy królików ozdobnych oraz psów rasowych.

Za najciekawsze stoisko targowe komisja uznała stragan Romana Roszkowskiego z Piotrkowa Trybunalskiego, na którym sprzedawano polski czosnek, orzechy laskowe, kompozycje paprykowe i cebulowoczosnkowe. Hitem okazały się cebulki lilii kolekcjonerskich Martagon, oferowane przez firmę BEN Garden.

W tym roku po raz pierwszy zorganizowany został konkurs na nalewki i przetwory domowe. Komisja po burzliwych obradach przyznała wśród nalewek pierwsze miejsce Mirosławie Adamowicz ze Swołowa, drugie - Krystynie Orzechowskiej z Barcina, a trzecie - Irene Kubiak. Wyróżnienia otrzymali - Zofia Smardz oraz Agrogospodarstwo Haliny i Stanisława Łuc z Choczewa. W konkursie przetworów domowych nagrodzono Zofię Smardz, Danutę Biuretę oraz Jadwigę Charzyńską, wyróżniono - Krystynę Orzechowską z Barcina i Aleksandrę Rolirad. **(M.M.)**

U niemieckich pszczelarzy

Grupa 16 pszczelarzy z Rejonowego Koła Pszczelarzy w Słupsku gościła u niemieckich pszczelarzy z powiatu Herzogtum Lauenburg



Fot. J. Maziejuk

Było to już ósme spotkanie partnerskie. Niemieccy pszczelarze przygotowali atrakcyjny program, który rozpoczął się od poczęstunku na trzydziestym piątym piętrze Hotelu Maritim na Travemünde, skąd goście z powiatu słupskiego mogli podziwiać wspaniałą panoramę Zatoki Łubeckiej, rzeki Trave i portu promowe-

go. Zwiedzano prywatną manufakturę wytwarzającą węzę, sklep ze specjalistycznym sprzętem pszczelarskim oraz park, w którym w ciekawy sposób zestawiono podobieństwa świata przyrody z osiągnięciami techniki. W Schmilau odbyła się biesiada przeplatana różnymi atrakcjami.

Pszczelarze spotkali się też w Muzeum Rzemiosł i Rolnictwa. W olbrzymiej stodole-muzeum, podzielonej na stacje tematyczne, zgromadzono mnóstwo przedmiotów wykorzystywanych kiedyś w pracach rolniczo-rzemieślniczych. **(L.O.)**

Niektórzy podjęli już n

„Wspólna sprawa - program aktywizacji osób zagrożonych wykluczeniem w gminie Główny” - tak nazywa się realizowany od 2008 roku przez Ośrodek Pomocy Społecznej projekt współfinansowany przez Unię Europejską

Celem projektu, w którym biorą udział dwie grupy osób wyłanianych każdego roku w drodze prowadzonej rekrutacji, jest przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu i zawodowemu beneficjentów, poprzez aktywizację zawodową i społeczną. W roku bieżącym grupę pierwszą stanowi 16 bezrobotnych lub

niepracujących i korzystających jednocześnie z pomocy społecznej. Z osobami tymi zawarte zostały kontrakty socjalne. Założono, iż w wyniku działań projektowych uczestnicy zdobędą nowe, bądź podniosą i udoskonalać już posiadane kwalifikacje zawodowe i zwiększą swoją szansę na zatrudnienie. W tym celu,

w pierwszym etapie realizacji projektu, wszyscy przeszli trening umiejętności psychospołecznych i warsztaty z doradcą zawodowym, poznali też zasady poprawnego budowania wzajemnych relacji w tzw. Szkole rodzica.

Kolejnym etapem było uczestnictwo w wybranym kursie zawodowym.

Program Spójność

Zaktualizowany dokument będzie ważny dla wszystkich podmiotów ubiegających się o środki unijne

28 września w powiecie słupskim, a 29 września br. w Słupsku został przyjęty zaktualizowany Słupski Powiatowy Program na Rzecz Zatrudnienia i Spójności Społecznej na lata 2010 - 2013. Poprzednia wersja dokumentu została uchwalona w 2007 roku i od tego momentu nie była zmieniana. Jednym z zadań Europejskiego Biura Partnerstw - II było jego zaktualizowanie. Zadanie to zlecono Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A. Celem aktualizacji było dostosowanie dokumentu do zmieniających się warunków społeczno-ekonomicznych, a także opracowanie nowych kierunków i celów związanych z aplikowaniem o środki w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Taki dokument jest szczególnie ważny dla wszystkich podmiotów składających projekty w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki.

W części analitycznej zaktualizowano dane statystyczne. Aktualizacji części strategicznej dokonano po spotkaniach konsultacyjnych z samorządowcami. Do prac tych zostali zaproszeni też przedstawiciele instytucji rynku pracy, instytucji szkoleniowych, jednostek administracji rządowej, przedsiębiorcy, instytucje otoczenia biznesu, organizacje pozarządowe, instytucje systemu oświaty i szkolnictwa wyższego oraz inne podmioty zainteresowane pozyskiwaniem środków z Europejskiego Funduszu Społecznego.

Prace rozpoczęły się w styczniu br. od analizy dokumentów strategicznych



Następnym krokiem były spotkania we wszystkich gminach powiatu słupskiego. Zainteresowani zostali na nich poproszeni o stworzenie „drzewa problemów” danej gminy - aktualnych potrzeb i ich hierarchii.

W kwietniu rozpoczęły się spotkania branżowe. Uczestnicy zostali podzieleni na pięć grup. Powstały grupy ds. rynku pracy, integracji społecznej, przedsiębiorczości, edukacji oraz społeczeństwa obywatelskiego. Zadaniem ich było przygoto-



Fot. E.B.P. - II

Fot. E.B.P. - II

... naukę lub pracę

Na przykład na kurs profesjonalnych sprzedawców skierowane zostały dwie osoby. W kursie dla opiekunek osób starszych uczestniczyły trzy osoby. W kursie na kucharza małej gastronomii - siedem osób. Jedna osoba przeszła kurs dla operatorów wózków jezdniowych. Kolejne trzy osoby wybrały kurs prawa jazdy kat. B.

Zajęcia teoretyczne i praktyczne odbywały się w Słupsku. Wszyscy uczestnicy przeszli niezbędne badania wstępne w Medycynie Pracy, stosownie do wymogów w określonym zawodzie, a dwanaście osób dodatkowo badania dla celów sanitarno-epidemiologicznych z wpisem do książeczki zdrowia. Uczestnikom kur-

sów sfinansowano bilety miesięczne. W jednym przypadku opłacono także pobyt dziecka w przedszkolu.

Do połowy października wszystkie osoby z wynikiem pozytywnym zaliczyły egzaminy końcowe, potwierdzające zdobycie kwalifikacji zawodowych. Jeden z uczestników kursu prawa jazdy zdał nawet egzamin państwowy. Od 18 października beneficjenci uczestniczą w kolejnym kursie z podstaw i obsługi komputera z elementami obsługi kasy fiskalnej, trwającym łącznie 60 godzin.

Na zakończenie tegorocznej edycji projektu, jego uczestnicy przejdą jeszcze warsztaty wizażu i praktycznych umiejętności poruszania się na rynku pracy.

Druga czternastoosobowa grupa uczestników projektu wyłoniona została spośród młodzieży i utworzyła Klub. Zajęcia Klubu odbywają się dwa razy w miesiącu podczas sobotnich spotkań. Obejmują cykl warsztatów psychologiczno-pedagogicznych, które mają przygotować młodych ludzi do wejścia na rynek pracy. W tej grupie także odbywają się treningi z doradcą zawodowym oraz zajęcia integracyjne, na których młodzież poznaje alternatywne formy spędzania wolnego czasu. Jedenaścioro pełnoletnich młodych ludzi uczęszczało na kurs prawa jazdy kat. B, dwoje zdało już pomyślnie egzamin państwowy.

Po trzech latach realizacji projektu część jego uczestników z własnej inicjatywy podjęła już naukę w szkole średniej lub znalazła zatrudnienie. Projekt będzie kontynuowany do roku 2013

Edyta Maruszak-Wilga
Główny

... ci zaktualizowany



wanie raportów cząstkowych dotyczących potrzeb. Po zakończeniu spotkań powstała wstępna wersja dokumentu. W sierpniu odbyły się konsultacje społeczne nad zaproponowaną wersją zaktualizowanego programu.

Największą zmianą w stosunku do poprzedniej wersji Programu jest wprowadzenie w miejsce działu Obszary Wiejskie, działu Społeczeństwo Obywatelskie. Obejmuje on dwa obszary, jednym jest aktyw-

ność grupowa obywateli (działalność organizacji pozarządowych, wspólnot lokalnych i samorządowych oraz nieformalnych grup i ruchów społecznych, np. wspólnot sąsiedzkich). Drugi obszar to indywidualna aktywność obywatelska, która obejmuje świadomość obywatelską, mierzoną np. frekwencją wyborczą. Zagadnienia związane z obszarami wiejskimi zostały włączone do poszczególnych działów dokumentu, tj. Rynku Pracy, Przedsiębiorczości, Integracji

Społecznej i Zawodowej, Edukacji i Społeczeństwa Obywatelskiego. Zmieniła się również struktura zarządzania Programem. Monitoring i ewaluacja będą prowadzone przez Wydział Rozwoju Miasta Urzędu Miejskiego w Słupsku we współpracy ze Starostwem Powiatowym w Słupsku i w porozumieniu z grupami roboczymi - w oparciu o badanie ankietowe. Wydział Rozwoju Miasta UM we współpracy ze Starostwem Powiatowym na koniec każdego roku kalendarzowego sporządzi roczny raport z realizacji Programu.

Planowane jest również utworzenie bazy projektów finansowanych z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. Taka baza będzie niezbędnym narzędziem, aby uniknąć powielania się projektów na tym samym terenie oraz na bieżąco monitorować postępy w realizacji Programu.

Iwona Chrapkowska
Konsultant Merytoryczny Europejskiego
Biura Partnerstw - II w Słupsku

programy strategiczne

Moja rola polega na dobrym kierowaniu

Z Janem Chałubińskim - dyrektorem Powiatowego Urzędu Pracy rozmawia Włodzimierz Lipczyński



Fot. J. Maziejuk

- Jak się rozwijała działalność Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku, zwłaszcza w okresie kierowania przez Pana tą instytucją?

- Przejmowałem kierownictwo Urzędu dziesięć lat temu i liczba bezrobotnych wynosiła wtedy ponad 20 tysięcy osób. Tytuł był zarejestrowanych. Problemów w tym okresie było bardzo dużo. Często brakowało pieniędzy nawet na wypłatę zasiłków dla bezrobotnych, co powodowało szczególne trudności. Pamiętam jak dochodziło do protestów bezrobotnych,

łącznie z okupacją mojego gabinetu. Dziś nie dochodzi już do takich sytuacji, bo dysponujemy niewspółmiernie większymi środkami na aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu. Jest tak między innymi dzięki temu, że jesteśmy w Unii Europejskiej. Gdy obejmowałem kierownictwo w PUP to mieścił się on w Słupsku przy ulicy Leszczyńskiego 8. Dzięki naszym staraniom otrzymaliśmy kolejne pomieszczenia na dwóch piętrach budynku przy ulicy Fabrycznej 1. Nasza działalność wielokrotnie się zwiększyła i dotyczy różnych aspektów rynku pracy. Natomiast nie do końca są rozwiązane nasze problemy lokalowe. Potrzebny jest jeden większy budynek, w którym mogłyby funkcjonować wszystkie działy Urzędu.

- Co wyróżnia słupski rynek pracy? Czy następuje jego ewolucja, jeśli tak, to w jakim kierunku?

- Słupski rynek pracy jest szczególnie na tle regionu, bo jest obciążony likwidacją w 1991 roku PGR-ów. Grupa byłych pracowników PGR nie potrafi dostosować się do nowej rzeczywistości, a stanowi duży odsetek bezrobotnych. Z problemami mieszkańców wsi, a szczególnie wiosek po PGR-ach borykamy się do dzisiaj. Z tego okresu pamiętam nasilające się protesty organizacji bezrobotnych, kontrowersyjny film nakręcony przez TVP pt. „Arizona” - przedstawiający przerysowany obraz popegeerowskiej rzeczywistości na ziemi słupskiej. W dalszym ciągu mamy do czynienia ze wzrastającym bezrobociem strukturalnym, gdzie najwyższy odsetek

stanowią bezrobotne kobiety nieposiadające kwalifikacji zawodowych.

- Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku otrzymuje duże wsparcie finansowe z budżetu państwa i innych źródeł na aktywną walkę z bezrobociem. Rocznie jest to już prawie 30 milionów złotych. Proszę przypomnieć, jak kształtowała się ta pomoc na przestrzeni ostatnich lat i jakich form ona dotyczyła?

- Urząd nasz skutecznie pozyskuje środki na aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu. Co roku zwiększa się kwota na realizację programów finansowanych z Funduszu Pracy i Europejskiego Funduszu Społecznego. W 2008 roku z Funduszu Pracy otrzymaliśmy na nasze działania niewiele ponad 9 mln złotych, a z Europejskiego Funduszu Społecznego pozyskaliśmy 6,1 miliona złotych. Dla porównania w bieżącym roku z Funduszu Pracy powinniśmy otrzymać ponad 18,6 mln złotych, a z Europejskiego Funduszu Społecznego prawie 8,9 mln złotych. Najwięcej środków przeznacza się na rozpoczęcie działalności gospodarczej przez samozatrudnienie. Na te cele kwota co roku się zwiększa, w 2008 roku wynosiła 3.611,7 tysięcy złotych, w 2009 - 4.668,3, a w bieżącym roku - 6.209,5 tys. złotych. Dominują w naszej działalności szkolenia, których efektywność przekroczyła już 60 procent. Oznacza to, że tyle przeszkolonych osób znajduje zatrudnienie.

- Jak Pan ocenia potencjalne możliwości rozwoju lokalnego rynku pracy i usuwania skutków trwałego bezrobocia? Kiedy w naszym subregionie poziom bezrobocia osiągnie minimalne wielkości?

- Aktywizacja słupskiego rynku pracy polega na corocznym zmniejszaniu liczby bezrobotnych zarejestrowanych w PUP. W latach 2006 - 2009 liczba osób bezrobotnych z miasta i powiatu słupskiego spadła o 3.288. W poszczególnych latach kształtowała się następująco: 2006 rok - 5.126 osób, 2007 - 10.618 osób, 2008 - 7.645 osób, 2009 - 11.478 osób. Odnotowujemy niepokojące zjawisko zwiększania się bezrobocia od 2009 roku, które w czerwcu br. wynosiło 11.838 osób. Potrzeby rynku słupskiego są trudne do przewidzenia - zależą od ogólnej koniunktury gospodarczej kraju i potrzeb związanych z rozwojem dużych przedsiębiorstw. Ciągłe monitorujemy rynek pracy, aby określać właściwe kierunki nauczania zawodowego i branżowego zgodnie z możliwościami zatrudnienia absolwentów.

- Jak jest postrzegany Powiatowy Urząd Pracy przez przeciętnego obywatela - waszego klienta?

- Na to pytanie trudno jest mi odpowiedzieć. Stosujemy różne formy dotarcia do klienta. Realizowaliśmy na przykład w latach 2008 - 2009 projekt dotyczący rozwoju i upowszechnienia usług rynku pracy. Współfinansowany był on przez Unię

Europejską i przyniósł konkretne rezultaty: zwiększył zainteresowanie i dostępność oraz upowszechnił lokalne pośrednictwo pracy i poradnictwo zawodowe, pozwolił na zatrudnienie doradców zawodowych i pośredników pracy. W 2009 roku zakupiliśmy system SMS-owego i mailowego powiadamiania o ofertach pracy u nas dostępnych i w naszej filii w Ustce. System ten powiązany jest z naszą stroną internetową i działa automatycznie. Prócz tego umożliwia wysyłanie wiadomości tekstowych. Od maja tego roku możemy się z naszymi klientami komunikować poprzez Internet, umawiać na rejestrację itp. W bieżącym roku został wdrożony też

cję kosztów na utworzenie nowych miejsc pracy. Środki te co roku są w pełni wykorzystane i stanowią istotną pomoc dla naszych klientów. Moja rola polega na dobrym kierowaniu pracą zatrudnionych pracowników, tak, ażeby pozyskane środki były racjonalnie i jak najefektywniej rozdysponowane.

- **Pamiętam sytuację, kiedy Duńcy poszukiwali pracowników na Pomorzu, przysyłając specjalny autobus z ofertami pracy. Czy my będziemy też w przyszłości poszukiwać imigrantów z krajów wschodnich?**

- Nie planujemy akcji poszukiwania pracowników za granicą. Mimo że słupscy



program Syriusz, który stwarza możliwość bezpośredniej współpracy z Ośrodkami Pomocy Społecznej i pozwala na szybki przekaz informacji.

- **Przeczytałem w lokalnej prasie wzruszający tekst osoby, która proponowała Pana kandydaturę do symbolicznej „Róży” za działania zawodowe w roku 2009, a szczególnie za kompetencje, życzliwość do klientów, za normalną ludzką dobroć...**

- Zadaniem słupskiego Urzędu pracy jest pomaganie ludziom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji życiowej. Są to w pierwszym rzędzie osoby pozostające w trwałym bezrobociu, osoby zagrożone zwolnieniami, absolwenci szkół zawodowych, średnich i wyższych. Jedną z wielu form pomocy jest wspieranie tych grup środkami pozyskiwanymi przez PUP na zasiłki dla bezrobotnych oraz aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu, w tym jednorazowe dotacje na samozatrudnienie i refunda-

przedsiębiorcy zwracali się już do mnie o pozwolenie na zatrudnienie obcokrajowców, ja takiej zgody nigdy nie wydałem. Mamy w regionie bardzo wielu swoich bezrobotnych i najpierw im trzeba umożliwić podjęcie zatrudnienia.

- **W tym roku Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku obchodził 20-lecie. Wielu pracowników odznaczono medalami, wyróżniono dyplomami, listami gratulacyjnymi.**

- Na dwudziestoletni dorobek naszego Urzędu składa się wysiłek i zaangażowanie wszystkich pracowników oraz naszych partnerów - osób bezrobotnych i poszukujących pracy. W naszym działaniu ma też szczególny udział Wojewódzki Urząd Pracy w Gdańsku, mają słupskie samorządy gminne oraz wiele innych instytucji rynku pracy, którym pragnę przy tej okazji serdecznie za to podziękować i zachęcić do dalszej współpracy na rzecz osób bezrobotnych.

KALENDARIUM

10 października w Sali Lustrzanej damnickiego Pałacu podpisano umowę o partnerskiej współpracy z powiatem bełchatowskim.

14 października w Zespole Szkół Technicznych w Ustce odbyły się powiatowe uroczystości Dnia Edukacji Narodowej.

15 października w siedzibie starostwa obchodzono Międzynarodowy Dzień Białej Laski.

20 października ukazał się wydany przez Wydawnictwo „Unigraf” z Bydgoszczy album pt. „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”.

23 października uroczystie obchodzono 50-lecie Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Ustce.

20-23 października na targach turystycznych w Poznaniu prezentowano walory powiatu słupskiego.

29 października otwarto słupską obwodnicę.

5 listopada w Głównych odbył się I Powiatowy Festiwal Szantowy „Białe Żagle”.

5 listopada na Zamku w Bytowie odbyła się promocja poetyckiego tomiku Piotra Wiktora Grygiela pt. „Na rydwanie Apollina”.

6 listopada w Gminnym Ośrodku Kultury w Głównych zaprezentowano pierwszą płytę „Klęcinianek” nagranych za stypendium Starosty Słupskiego.

6-7 listopada w Zagrodzie Muzealnej w Swołowie odbyła się Gęsia Niedziela. (G.Ś.)

Prawdę mówiąc, interesowały mnie dotychczas gołębie Pabla Picassa jako dzieła sztuki oraz te wiejskie hodowane przez sąsiadów jako potencjalni amatorzy młodej sałaty z mojego ogródka. Tymczasem ostatnio ze wzruszającym zdziwieniem odkryłam świat pasji dorosłych ludzi, w większości mężczyzn, wiążących z ptasią inteligencją i urodą własny honor i dumę

Skrzydlate piękności



Fot. J. Maziejuk

łębi wysokolotnych. Osiągają bardzo wysoki pułap lotu, są wytrzymałe, mają dobrą orientację przestrzenną. Tradycyjne centrum hodowli to Zamość, Chełm i Lublin. W ostatnich latach rasa ta ze względu na swe walory hodowana jest we wszystkich rejonach. Pochodzenie gołębi zamojskich nie jest dokładnie znane. Według niepotwierdzonej wersji gołębie perskie przywiezione zostały w XVII wieku do Zamościa przez jednego z ordynatów. Pamiątkowe nagrody w tej kategorii wręczali Andrzej Bury, wicestarosta słupski i Jacek Goreński, dyrektor szkoły.

Wystawę zwiedziło wielu zainteresowanych, w tym mieszkańcy Objazdy. Wrąz ze mną wystawę zwiedzały panie z KGW - Regina Brzywczy i Danuta Kryńska. Zwróciły uwagę na gołębie rasy king barw pstrej, białej i czerwonej należącej do kuraków z hodowli Krzysztofa Dobrzańskiego z Koszalina. Piękne, dostojne ptaki, choć raczej wysoko nie polecą. Osiągają masę ciała od 850 do 1050 g. Mają mocne kró-

W hali sportowej Zespołu Szkół Samorządowych w Objęździe w dniach 6-7 listopada br. Środkowopomorski Związek Hodowców Gołębi Rasowych i Drobego Inwentarza z siedzibą w Koszalinie zorganizował pod patronatem Starosty Słupskiego i Wójta Gminy Ustka wystawę Gołębi Młodych, rocznik 2009 i 2010. W blisko tysiącu klatek trzydziestu siedmiu wystawców z osiemnastu miejscowości północnej Polski - od Trzebiatowa przez Kołobrzeg, Koszalin, Wrzosowo, Słupsk, Gdynię aż do Pelplina przedstawiło osiemdziesiąt pięć ras gołębi piękności. Komisja sędziowska (Ireneusz Rogowski, Kazimierz Jędrzejewski, Dominik Langiewicz, Kazimierz Płaczkowski, Witus Obrusik, Robert Cierpiałowski) pod przewodnictwem Bogdana Szmida i sędziego obserwatora Mieczysława Branickiego przyznała nagrody najlepszym hodowcom: Marianowi Jarząbkowi z Bolesławic w czterech rasach, między innymi w kategorii koroniarza końcatego, drobnego gołębia o polskim pochodzeniu oraz me-

wek orientalnych, gołębi wyhodowanych w małej Azji, sprowadzonych do Niemiec w 1849 roku, obecnie hodowanych w całej Europie. Nagrodzono Jana Walkiewicza z Pelplina za gołębie w sześciu rasach, między innymi kapucyna staroholenderskiego, gałacza górnośląskiego białogłowego i inne ciekawe rasy. Ponadto nagrody wręczono Patrykowi Witusińskiemu z Kaczkowa, Markowi Żmudzie-Trzebiatowskiemu oraz znanemu hodowcy, mistrzowi Polski, Bogdanowi Niewadziłowi z Ustki. Pamiątkowe puchary wręczali starosta słupski Sławomir Ziemianowicz i wójt gminy Ustka Anna Sobczuk-Jodłowska.

Tadeusz Kasperkiewicz ze Swochowa i Ryszard Andrzej Ryłło ze Słupska wystawili kolekcje gołębi rasy zamojskiej, odpowiednio 24 i 30 sztuki. Sędzia obserwator stwierdził z uznaniem, że tak liczna kolekcja od jednego hodowcy to prawdziwa rzadkość. Gołębie zamojskie zwane też niekiedy perskimi to kolejna polska rasa o najlepszych cechach wymaganych od go-



Fot. J. Maziejuk

kie skrzydła i takież nieco uniesiony ogon. Stoją na mocnych szeroko rozstawionych nogach.

Naszą uwagę zwrócił także wyhodowany przez Józefa Matejaka z Kołobrzegu, należący do gołębi lotnych, czarny tippler angielski poddany ocenie sędziego Roberta Cierpiałowskiego. To średniej wielkości ptak o spokojnym usposobieniu, wyhodowany w Anglii w XX wieku.

Jeśli domeną panów są gołębie, to praktyczne panie z KGW z zainteresowaniem oglądały kury. Piękne miniaturowe czubatkę, hamburskie i sebrity z hodowli Jarosława Stando z Charnowa były interesujące na tyle, że panie spisały numer telefonu hodowcy z myślą o zakupie do własnej hodowli.

Ciekawa, dobrze przygotowana wystawa opatrzona katalogiem dostarczyła wystawcom i zwiedzającym satysfakcji. Ignorantom, takim jak ja, zaimponowała rozmachem, urodą ptaków i rzeczowością hodowców. Komisarzem wystawy był Marian Jarząbek. W komitecie organizacyjnym podaje się Cezarego Muchowskiego, Bogdana Niewadziła, Grzegorza Pajaka, którzy wymienieni zostali także jako sponsorzy obok Starostwa Powiatowego w Słupsku, Urzędu Gminy w Ustce, Zespołu Szkół Samorządowych w Objeździe i Gminnej Spółdzielni „SCH” w Ustce. Wystawę sponsorował również Henryk Ropel, właściciel sklepu z paszą dla gołębi z Szymbarka.

W katalogu przypomniano cały dekalog św. Franciszka, tu przywołajmy pkt. 4. „Z miłością do siebie samego troszcz się o człowieka, zwierzęta, rośliny, o wody i powietrze, aby ziemia nie została ich pozbawiona”. Wystawa gołębi w Objeździe spełnia to zadanie. Ostatnia strona katalogu jest jednocześnie zaproszeniem na kolejną wystawę, za rok.

**Czesława Długoszek
Objazda**



Polskie krzyże

Na przestrzeni wieków krzyż, który przede wszystkim jest symbolem Męki Pańskiej, stał się również symbolem polskości

Fot. J. Maziejuk

„Tylko w polu / Biały Krzyż / Nie pamięta już / Kto pod nim śpi” - to słowa jednej z najpiękniejszych polskich piosenek, które mówią jednoznacznie, że w miejscu, w którym stoi krzyż, jest ktoś pochowany. Historia, koleje losu Polaków sprawiły, że wiele mogił jest bezimiennych. Często bezimiennym krzyżom symbolizują wielkie wydarzenia - bitwy, katastrofy. Najbardziej znanym krzyżem w ostatnim okresie jest symbol katastrofy z 10 kwietnia br. Krzyż postawiony przez harcerzy przed Pałacem Prezydenckim (niezależnie czy i gdzie będzie przeniesiony) ma upamiętniać nam tragiczną katastrofę pod Smoleńskiem, w której zginął między innymi Prezydent RP Lech Kaczyński.

Na przestrzeni wieków krzyż, który przede wszystkim jest symbolem Męki Pańskiej, stał się również symbolem polskości. Nie ma chyba w Polsce nawet najmniejszej miejscowości, w której by go nie było. Krzyże stały się też głównym symbolem powrotu Ziemi Odzyskanych do Polski. Od 1945 roku, kiedy na stałe mają swoje miejsce w naszych wsiach, stały się również miejscem spotkań i integracji mieszkańców. Co roku przez cały maj pod krzyżami (dawniej przez wszystkich mieszkańców, dziś bardziej symbolicznie) śpiewane są pieśni maryjne.

Każdy z tych krzyży ma swoją historię. Nie zawsze jednak znaną wśród dzisiejszych mieszkańców. Podobnie jest w moim rodzinnym Starkowie, gdzie stoją dwa krzyże. Jeden w środku wsi. Drugi poza nią, na rozwidleniu dróg do Zaleskich i Moździanowa. Jako pierwszy wyciosany został ten stojący poza wsią. Wykonał go Stanisław Jędrzejczyk. Kiedy miał stanąć w środku miejscowości mieszkańcy stwierdzili, że jest za niski i postanowili o jego miejscu na rozstaju dróg.

Stanisław Jędrzejczyk - jeden z pierwszych osiedleńców, pochodzący z województwa kieleckiego - to charakterystyczna postać. We wrześniu 1939 roku walczył

w obronie Wybrzeża. Znały był również w okolicy jako barwny mówca. Zawsze nadawał ton spotkaniom świeckim i kościelnym. Żona Pana Stanisława mieszka w Starkowie do dziś.

Wykonania nowego, wysokiego krzyża podjęli się dwaj mieszkańcy Starkowa - Bronisław Domański i Jan Jabłoński (mój ojciec). Pomagał im znający się na obróbce drewna pan Grzegorzewicz. Wykonali go z wcześniej upatrzonego w pobliskim lesie największego dębu. Wysokość krzyża robiła wrażenie.

B. Domański to też jeden z pierwszych osiedleńców, pochodzący z Mazowsza. Jan Jabłoński po zakończeniu działań wojennych przyjechał z Lubelszczyzny. To wieloletni sołtys, postać zaliczana do tzw. liderów wiejskich.

Teraz oba krzyże są po konserwacji i odbudowie. Cieszą - jak zawsze pielęgnowane i strojone. Mieszkańcy Starkowa to osiedleńcy z okolic Lwowa, Wileńszczyzny, Mazowsza, Lubelszczyzny, Łódzkiego i Kaszub. Nieliczni, żyjący do dziś w Starkowie pamiętają tamte lata. Nawijając w rozmowach do „wojny” o krzyż sprzed Pałacu Prezydenckiego namówili mnie do napisania tych słów. - Nas sześćdziesiąt pięć lat temu jednoczyła budowa krzyża - mówią. - Dziś jednocy nas symbolika i wiara. Nie przeszkadzało nam, że poświęcenia krzyża dokonał niemiecki ksiądz z nieistniejącej dziś miejscowości Zalesin. Odprawił on również z tej okazji mszę polową. A było to zaledwie sześć miesięcy po zakończeniu wojny. W Polsce każde miejsce na postawienie krzyża powinno być dobre.

Historia krzyży w Starkowie to tylko jeden epizod w historii ziemi słupskiej. Uważam, że takie i podobne przykłady z naszej obecności na tych terenach należy upamiętniać, przekazując je kolejnym pokoleniom. Tak tworzymy naszą historię.

Adam Jabłoński, Przewłoka

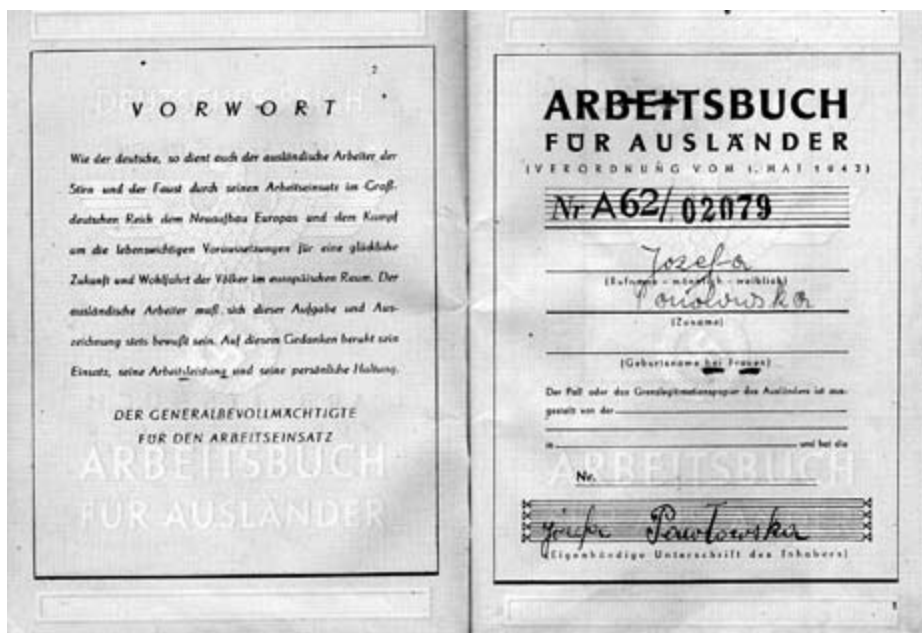
nasza narodowa symbolika

Zagubiony etos

Kiedy poznaję losy mieszkańców mojej wsi, wzrasta we mnie przekonanie o konieczności ich dokumentowania. Odchodzą świadkowie bolesnych wojennych doświadczeń, ludzie, których losami rządził przedziwny Demiurg, jakby na owe pięć mrocznych lat Bóg wyszedł z Domu. Zatem losami sąsiadów opisuję małą ojczyznę, za którą zapłacili przetrąconym życiem nasi najbliżsi



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

Oboje pochodzili z Kresów. Ona ze wsi położonej na Pojezierzu Brzławskim, on urodził się i mieszkał w parafii Szemietowo, jakieś sto kilometrów od niej. Nie mieli o swym istnieniu pojęcia i gdyby nie złe wiatry historii tak pozostałoby do końca ich dni. Widocznie jednak Boża Opatrzność niesie nam wśród rozlicznych nieszczęść dary, które pomagają przetrwać zły czas. Stali się dla siebie darem na całe życie, które dopełniło się we wsi Objazda, o której istnieniu wtedy nie wiedzieli.

Kresowe wsie w większości były biedne, własnej ziemi było niewiele, potrzeby duże i żadnej perspektywy. W niedalekiej Łotwie żyło się lepiej i o pracę sezonową było łatwiej. Młodzi wyjeżdżali chętnie, tym bardziej że emigracyjne opowieści były im znane. W odzyskaną w 1918 roku niepodległość Polska wchodziła z tradycjami emigracji nie tylko politycznej, lecz także zarobkowej, która wyjątkowe rozmiary przybrała w latach 1890-1914. Szczegółową analizę problemu przedstawia Anna Kicingier ze Środkowoeuropejskiego Forum Badań Migracyjnych w Warszawie w pracy „Polityka emigracyjna II Rzeczypospolitej”. Podaje szacunkowe badania, z których wynika, że w przełomie wieków ziemię polską opuściło 3,5 miliona ludzi, emigrując głównie do USA, Brazylii, Argentyny, Kanady. Jeśli do zamorskiej dodamy emigrację kontynentalną, okaże się, że w chwili narodzin Niepodległej na emigracji żyło 4,3 miliona Polaków. Tradycje emigracji zarobkowej kryły bolesne doświadczenia jednostkowe, rodzinne i społeczne. Masowa emigracja świeżo scalonych ziem polskich uzasadnia-

na była „złem koniecznym” wobec biedy i niedorozwoju gospodarczego odradzającej się ojczyzny. Dominującą grupą emigracyjną w dwudziestolecie byli rolnicy (od 60 do 95 proc.), przyczyniła się do tego ciągle odkładana reforma rolna. Główne kierunki emigracji kontynentalnej to Francja i Niemcy, które sezonowo zatrudniały ponad 300 tys. sezonowych robotników rolnych. Polacy stanowili niemal 80 proc. cudzoziemców pracujących sezonowo w niemieckim rolnictwie, jak podają oficjalne statystyki niemieckie. Ponadto nielegalnie emigrowało zarobkowo ponad 100 tys. zdesperowanych ludzi. Ostatecznie dopiero w roku 1926 osiągnięto wstępne porozumienie polsko-niemieckie, a w 1927 zawarto umowę o sezonowej emigracji polskich pracowników rolnych (Internetowy spis aktów prawnych. (isip.sejm.gov.pl)). O aspektach prawnych regulujących emigrację zarobkową pisze Paweł Fitkus w artykule „Ochrona prawna emigrantów w latach 1918-1927 w II RP” publikowanym w Zeszytach Studenckich Wrocławskich Studiów Erazmiankich.

Nowym rynkiem dla polskich emigrantów zarobkowych stała się Łotwa, jedyny kraj docelowy, gdzie polska emigracja okresu kryzysu systematycznie rosła, sięgając w 1935 roku ponad 16 tys. osób, a w 1938 już blisko 18 tys. robotników sezonowych. Dziś Polonia na Łotwie liczy ok. 75 tysięcy. Większość, zamieszkała w Rydze, Dynenburgu, Mitawie i Rzeżycy, stanowią potomkowie sezonowych robotników rolnych oraz drobnej inteligencji miejskiej przyjeżdżających tu w okresie dwudziestolecia.

Janina i Aleksander spotkali się na Łotwie, gdzie oboje przybyli do pracy w Ogrze nad rzeką tej samej nazwy, będącej dopływem Dźwiny, ponad trzydzieści kilometrów od Rygi. Pracowali jako robotnicy rolni, przyglądając się sobie bez szczególnego powodu. Oboje skromni, solidni w każdej pracy, złączeni emigracyjnym losem wiedzieli o rozniecającej się wojennej zawierusze. Niemcy panoszyli się wszędzie, władze łotewskie mniej przychylnie patrzyły na polskich emigrantów. Gdzieś na szczytach polityki zrywano dawne sojusze, zapomniano o niedawnych porozumieniach i przyjaźniach. Mimo to, a może właśnie dlatego w 1940 roku wzięli ślub. Łatwiej przeżyć emigracyjny los, gdy obok jest ktoś bliski tak samo widzący świat. Tak było i jest, to jakby wpisany w emigrację lek na samotność. Po blisko dwóch latach, w 1942, kiedy była brzemienna, jej męża skazano za jakieś drobne przewinienie na obóz przejściowy i zsyłkę na roboty przymusowe. Ze względu na błogosławiony stan nie musiała dzielić jego losu, ale małżeństwo traktowała jako związek nierozrwalny. Poszła z nim. Przez Königsberg i obóz przejściowy, prawdopodobnie Quednau (powstał w 1933 - jako jeden z pierwszych hitlerowskich obozów koncentracyjnych). Później jechali pociągami, głodni i obdarci, pod strażą, przez wiele tygodni. Kiedy dotarli na miejsce do Stralsund, pięknego nadbałtyckiego miasteczka w okolicach Rugii, urodziła martwego synka. Skrywali żalobę. To nie był dobry czas dla dzieci robotników przymusowych.

Pracowali ciężko, nieraz ponad siły, bez należytej stawy i wypoczynku. Bolesne doświadczenia stały się zaczynem następnych zdarzeń, które łączyły się w przedziwne wątki.

Ksiądz Jan Zieja, którego wtedy nie znali, w porozumieniu z władzami AK udał się na Pomorze, aby tutaj od 13 listopada 1944 roku do 3 maja 1945 roku służyć posługą duszpasterską Polakom wywiezionym na przymusowe roboty. Jego kapłańska droga wiodła przez: Braunsberg (Braniewo), Frombork, Bromberg (Bydgoszcz), Gotenhafen (Gdynia), Martensdorf, Stralsund i Barth oder Ostsee. W grudniu 1944 roku będąc na robotach przymusowych w Niemczech w okolicach Barth (na południe od wyspy Rugii) pod wpływem bolesnych obserwacji, narysował zarys swej pracy duszpasterskiej. Po przybyciu do Słupska w końcu maja 1945 roku i utworzeniu przy kościele św. Ottona wzorowej parafii katolickiej, z determinacją rozpoczął tworzenie domu świętego macierzyństwa, czyli Domu Matki i Dziecka. W tym samym czasie przez punkt repatriacyjny w Łodzi do Objazdu w okolicach Słupska przybyli niedawni przymusowi robotnicy rolni spod Stralsund, bo nie było Polski tam, gdzie zostali ich rodzinne domy.

Kiedy na świat przyszła ich piękna, zdrowa córeczka, ks. Jan Zieja objął parafię w Wytownie. Kapłan idący jak oni wojennym szlakiem ochrzcił i obdarował katechizmem z dedykacją ich dziecko. W Objeździe osiedlili się na stałe, ks. Jan Zieja powędrował dalej, by w późniejsze czasy przenieść zacząć wolności.

Stanisława Zaczkówna miała piętnaście lat i dotychczas sprzyjało jej szczęście. Kiedy 10 lutego 1940 roku z Podgórza wywożono gdzieś w głąb Rosji ponad trzydzieści rodzin, jej dom i rodzina wydawały się bezpieczne. Miała rodziców, dwie siostry i dwóch braci. Mimo wojny i codziennej obawy o kolejny dzień, cieszyła się młodością. 10 kwietnia 1943 roku sołtys przyniósł nakaz wyjazdu na roboty przymusowe wystawiony przez łomżyński Arbeitsamt. Wywieziono ją do Memel, dzisiejszej litewskiej Kłajpedy, do fabryki haceli. Jechała z nią

Kiedy poznaje losy mieszkańców mojej wsi, wzrasta we mnie przekonanie o konieczności ich dokumentowania. Odchodzą świadkowie bolesnych wojennych doświadczeń, ludzie, których losami rządził przedziwny Demiurg, jakby na owe pięć mrocznych lat Bóg wyszedł z Domu. Zatem losami sąsiadów opisuję małą ojczyznę, za którą zapłacili przetrąconym życiem nasi najbliżsi.

Słowa Jana Pawła II „Pamięć o przeszłości jest obowiązkiem wobec przyszłości”, które przyjęto jako motto wystawy w Zamku Królewskim (2005), towarzyszącej prezentacji pracy pod redakcją Włodzimierza Banasiuka „Polscy robotnicy przymusowi w Trzeciej Rzeszy” oddają stan świadomości odchodzącego pokolenia. Pamięć udokumentowana tysiącami relacji wojennych bohaterów to solidny fundament przyszłości budowanej w pokoju

Name und Vorname: <u>Janina / Ks. Jan Zieja</u>			
geboren am: <u>27. Juni 1914</u> in: <u>Podgórze</u>			
Landesversicherungsanstalt: <u>Donnau</u>			
Beschäftigt gegen Entgelt		Arbeitsverdienst (Barbezüge und Wert der Sachbezüge) für die Beschäftigungszeit	
von	bis	RM.	Rpf.
1944	19/6/1944	578.84	
1943		922.40	
1.1.1943		1.1.1943	
Name und Sitz der Krankenkasse, an die die Beiträge abgeführt sind		Firmenstempel, Anschrift und Unterschrift des Arbeitgebers	
A.O.K.f.d. Landkreis Stolp Blumenstr.		August Stelling Waffen- und Luftfahrzeugbauwerk Seddin	
A.O.K.f.d. Landkreis Stolp Blumenstr.		August Stelling Waffen- und Luftfahrzeugbauwerk Seddin	

Fot. Archiwum

jeszcze jedna dziewczyna z Podgórza, było łatwiej. Mieszkały na terenie fabryki, jak w obozie. Osiemnastolatka przymuszona do ciężkiej pracy modlitwą dziękowała Bogu za każdy przeżyty dzień i nadzieję, która była codziennym pokarmem krzepiącym bardziej niż głodowe racje żywnościowe. Paczki z domu łagodziły głód i poczucie samotności wobec ogromu zła, pozwalały zachować godność. Dopiero 19 maja 1945 roku była wolna. Wróciła do Podgórza, ale nie było ich domu, więc znów z rodziną jechała w nieznane. Dotarli do Słupska i dalej do Machowinka. Tu spotkała Olka Kalistę, sąsiada z Podgórza. Niedawno przez lasy Syberii, Uzbekistan, Kazachstan, wreszcie szlakiem bojowym II Armii wrócił z zesłania. Mieli za sobą podobne doświadczenia przymusowej pracy w nieludzkich warunkach. Dobrze się rozumieli. Pobrali się 7 września 1947 roku, a małżeństwo pobłogosławił ks. Jan Zieja, jak oni skromni, skołatani latami wojny, ale naznaczony kapłańskim etosem. Niósł powracającym słowa otuchy i sakramenty, przywracając wiarę.

przez wszystkie narody Europy. Wielkim projektem, jak ten sporny powstający w Berlinie pod nazwą muzeum wypędzeń, powinna towarzyszyć znajomość losów naszych najbliższych jako gwarancja regionalnej i narodowej tożsamości.

Józefa Pawłowska z Huszlewa, rocznik 1920, ukończyła siedem klas szkoły powszechnej. W małym gospodarstwie na kilku długich jak oczekiwanie paskach ziemi gospodarzył żonaty brat. Pomagała w gospodarstwie w oczekiwaniu na posadę. Wojna pokrzyżowała plany, a kiedy w lutym 1943 roku sołtys przyniósł nakaz wyjazdu na roboty dla jej bratowej, zgłosiła się sama, by ratować rodzinę brata. Cóż stałoby się z dziećmi - pomyślała. Pędzono ich pieszo do stacji, stamtąd koleją wieziono do Warszawy, później Berlina i Kerzlin-Neuruppin w Brandenburgii. Podróż trwała blisko trzy tygodnie. 6 marca trafiła do bauera Richarda Pritzkow, do pracy w oborze, co wspomina jako dobrodziejstwo, bo wiedzona sprytem umiała z tego korzystać. Mleko chroniło ją przed głodem. Tak prze-

żyła ponad dwa lata. Po wojnie wróciła do domu. Za ciasno było dla dwóch gospodyń. W Bierkowie pod Słupskiem osiedliła się jej ciotka, przyjechała do niej, na Ziemię Odzyskane, jak wielu młodych. Została sklepową i zaczynała normalne życie. Kazimierz Bednarczyk, którego wkrótce poznała, przypadł jej do serca. Miał te same doświadczenia blisko pięcioletniej przymusowej pracy. Na roboty w Prusach Wschodnich trafił z łapanki w Warszawie. Pobrali się niebawem i zamieszkali w Objeździe.

Początkowo niemieckie władze próbowały pozyskać ludność polską dla niemieckiej gospodarki rolnej poprzez apele, akcje plakatowe i werbowników urzędu pracy. Kiedy nie było widoków na zgromadzenie tym sposobem potrzebnych do pracy miliona robotników, władze okupacyjne zdecydowały się w kwietniu 1940 roku zastosować środki przymusu. Obok aresztowań, łapanek policyjnych, zmuszano wójtów gmin do wyznaczania ludzi na roboty przymusowe. Generalny gubernator Frank polecił administracji pracy na okupowanych terenach przygotowanie i przetransportowanie do Rzeszy co najmniej 1 mln robotników, w tym około 750 tys. robotników rolnych, wśród których musi być co najmniej połowa kobiet, aby zapewnić produkcję rolną w Rzeszy i uzupełnić brakujących w Rzeszy robotników przemysłowych (Herbert: Der Ausländereinsatz).

Władysława Jarnecka z Piotrkowa Trybunalskiego na roboty przymusowe do Seddin-Jeseritz bei Stolp, czyli znajomych nam Jezierzyc, została przywieziona z łapanki w 1941 roku. W międzywojniu przez bazę w Jezierzycach-Żydzinie przewinęło się łącznie 9 sterowców produkcji firmy von Zeppelin i firmy Schytte-Lanz. W czasie ostatniej wojny uwięzieni w obozie robotnicy zmuszeni byli do pracy na stacji kolejowej przy rozładunkach materiałów budowlanych i amunicji. Do pomocy przydzielano więźniarki z obozu dla kobiet. Nim tam trafiła Władysława, przeżyła długą podróż i pobyt w tzw. okrągłaku w Stolp, co w jej wspomnieniach było koszmarem. Przydzielono ją do pracy przy produkcji balonów. Czas zataił wspomnienia i bolesne doświadczenia. Jej córka Bożena przywołuje fragmenty rzadkich na ten temat rozmów z matką. Próbowaliśmy przy pomocy starszej pani Jarneckiej, bratowej Władysławy, odtworzyć klimat tamtych dni. Paradoksem okazał się fakt, że miejsce do którego przywieziono ją wbrew woli, okazało się danym na całe życie. W Jezierzycach poznała Alka Kostkę z Gdyni, który podobnie jak ona przybył tu nie z własnej woli. Pracował jako palacz w gorzelni w oddzielnym obozie

w Jeseritz. Mieszkał w baraku, gdzie przebywało trzynastu mężczyzn i dziesięć kobiet, ludzi różnych narodowości, wśród nich przyszła bratowa Władysławy. „Przymusowa” miłość, która zrodziła się w nieludzkich warunkach, dawała nadzieję. Dzięki niej łatwiej było żyć, mimo upokorzeń. Pobrali się potajemnie w czasie przepustki, w Gdyni, dzięki przyjaciółom, którzy pomogli wszystko urządzić. Po wojnie długo szukali miejsca na stałe, po kilku przeprowadzkach zamieszkali w Objeździe.

W czasie II wojny światowej na przymusowe roboty do Niemiec deportowano

Problem nie jest prosty. Wojenne pokolenie po latach bolesnych doświadczeń stanęło do ciężkiej pracy odbudowy, tworzenia własnych domów i środowisk w nowych granicach, w nowych warunkach. Podejmowali wyzwania z entuzjazmem i oddaniem. Niedawny przymusowy robotnik rolny Feliks Kozub, przez pięć lat pracujący u bauera w Wobesde, został pierwszym sołtysiem Objazdy. Błażej Łyszcz po pięciu latach przymusowych robót z dała od rodziny sprowadził bliskich do Objazdy, bo tu widział swoją przyszłość. Antoni Szubert wzięty po klęsce wrześniowej do obozu dla polskich jeńców wojennych (z kampanii wrześniowej 1939) -Stalag I-A koło Królewca, pracował u bauera w okolicach Tylży, gdzie znajdował się jego obóz. Po wojnie przez rok był milicjantem w Objeździe. Zrezygnował. Został rolnikiem, dorabiał także poza niewielkim gospodarstwem. Pani Kazimiera nie pamięta szczegółów wojennej drogi męża. Nie wymieniła wszystkich mieszkańców mojej wsi, którzy doświadczyli przymusu pracy na rzecz Trzeciej Rzeszy lub Sowietów. Przyjechali na Zachód z wiarą, że teraz się uda. Ciężko pracowali.

Później entuzjazm ostrył, gdy okazało się, że pracowity, gospodarny rolnik jest kułakiem, którego trzeba zdyscyplinować dodatkowymi obowiązkowymi dostawami. Rzetelny szewc, krawiec, robotnik uważany jest za naiwniaka, a pokłask zyskują bierni ale wierni... Powoli w świadomość wnikało przeświadczenie: czy się stoi, czy się leży... Siermiężny czas ustąpił miejsca kredytowanemu sukcesom. Oficjalna propaganda rozmijała się z życiem, prowadząc do katastrofy, której wyrazem był ocet na sklepowych półkach.

Angielską nazwą „oral history” określamy historię opowiadaną. Suchy, rzeczowy przekaz ustępuje miejsca barwnej opowieści ludzi z krwi i kości. Dzięki temu możemy nie tylko ożywić przeszłość, lecz także łatwiej zrozumieć niejedno wydarzenie.

Przechodzę często obok okazałych niegdyś budynków gospodarczych PGR, dziś miejsca zabaw w paintball. Pamiętam lata, gdy to miejsce ożywiała praca przy maszynach, dużym stadzie bydła, gdy latem huczały kombajny i traktory. Wieś żyła z rolnictwa. Rozpadł się w gruz wysiłek i grosz ludzi, którzy z tym miejscem wiązali plany życiowe. Nieliczni z rozpadu pegeerów wyszli obronną ręką. Większość pozostała poza nurtem zmian. Nie mają siły przebicia stoczniovców. Przyłgnęła do nich nacechowana pejoratywnie nazwa mieszkańców popegeerowskich wsi.

**Czesława Długoszek
Objazda**



ok. trzech milionów osób, blisko 80 proc. pochodziło z polskich wsi. Najczęściej byli to ludzie młodzi, pełni sił, marzący o własnej drodze życiowej. Marzyli o pracy dla siebie i najbliższych, wolnej i godnej. Pojmowali ją jako wartość bezwzględna jak miłość i dobro. Być może nie znali pojęcia etosu pracy, ale wiedzieli, jak godnie żyć wśród swoich. Wojna była okrutną lekcją wczesnej dorosłości i pracy ponad siły na terenach okupowanych przez Rzeszę i na sowieckich zsyłkach. „Arbeit macht frei” nad wejściem do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, praca przymusowa na rzecz totalitarnych systemów, upodlająca i degradująca była zaprzeczeniem wszelkich wartości, nie tylko etosu pracy.

Moi rozmówcy często zasłaniają się niewiedzą lub niepamięcią. Tak rzadko pojawiały się okazje do powrotu w przeszłość. Są powściągliwi, jakby los, który stał się udziałem ich rodziców, był defektem życiowym, o którym lepiej milczeć. Rozumiem to i szanuję. Przez lata doświadczenie przymusowej pracy pojmowali jako niesprawiedliwość losu. Przymus pracy w nieludzkich warunkach degradował poczucie własnej wartości i godność. Spóźnione skromne rekompensaty wypłacone po latach nie dawały należytej satysfakcji, nie odbudowały zniszczonego etosu pracy. Czasem myślę, że jesteśmy naznaczeni syndromem pokolenia, które po latach pracy w totalitarnych systemach nie widzi jej sensu i zamiast pracy wybiera... zasiłek dla bezrobotnych lub emigrację.

Czar - Pasterka

Po kilku minutach światło świec i głośny śpiew tłumu rozjaśnił kościół. W rogu, w maleńkiej szopce pod zielonym drzewkiem - Święta Rodzina. Ależ nam biły serca! Jak dzwony!

Przygotowania do świąt, sama rozmowa o nich jest też okazją do wspomnień. Każdy ma swoje jedyne, inne. Ja pamiętam świąteczne czary, ale opowiem o moich doświadczeniach związanych z pasterką.

Będąc trzynastoletnią dziewczynką wraz z rodzeństwem, ale też przyjaciółmi, sąsiadami szliśmy na pasterkę pieszo do kościoła parafialnego oddalonego od naszej wsi o cztery kilometry. Dziś samochodem to kilkanaście minut drogi, ale wtedy w zaspach, mroźnym (w tamtych czasach zimy były jak z bajki - śnieżne i mroźne) powietrzu zatykającym oddech szło się naprawdę ciężko, wspólnie rozmawiając, ciesząc się wrażeniami z minionej wigilii, ilością prezentów. Droga mijała dość szybko. Po mszy wszyscy przed kościołem łamali się opłatkiem, składali sobie życzenia, rozmawiali, cieszyli się spotkaniem z dawno niewidzianą rodziną, znajomymi. Dziś każdy szybko zmyka do auta, domu i tylko nieliczni podtrzymują ten zwyczaj. Droga powrotna to dopiero był wysiłek. Ale wracało się ze świadomością, że w domu czeka świeżo wykrochmalona pościel, rano nie trzeba będzie wstawać, a jeśli już to tylko na przepyszne śniadanie. Niektórych zabierał sołtys naszej wsi na sanie z konikami dźwięczącymi dzwonkami, z czerwonymi pomponami. Zapraszał seniorów do sań, a my wracaliśmy pieszo. Jednak w połowie drogi, każdy pobudzony zimnym powietrzem zapominał o śnie i zaczynały się śpiewy, opowieści, zabawy w śnieżki i tzw. młodzieńcze wygłupy. Do domu wracaliśmy niekiedy o brzasku, ale te wspólne pasterkowe „marsze” to było coś!

Z czasem trudniej się nam chodziło, więcej mijało nas samochodów. Towarzystwo się wykruszało. Nadszedł czas jazdy ciągnikiem. Młody gospodarz czy też pracownik Spółdzielni Kółek Rolniczych podjeżdżał w umówione miejsce ciągnikiem z przyczepą, na której poustawiane ławki z sali wiejskiej zapraszały do powrotu do domu. Szybciej mijała droga. Były też śmiechy i żarty. Opatuleni wietrzną chustą jechaliśmy szczęśliwi, że nie musimy sami brnąć w zaspach. Jednak powoli pośpiech i postępy i te wspólne „pasterkowe wypady”

zamieniły się w szybkie kursy samochodów osobowych. Coraz rzadziej widywało się grupki osób rozmawiających przed kościołem. I nie było to spowodowane nieprzychylną pogodą...



Fot. J. Maziejuk

Z prawdziwą tęsknotą wspominam jedną pasterkę w Motarzynie sprzed kilku lat. Zła, wręcz „wisielcza” pogoda, silne wiatry przyczyniły się do tego, iż tuż przed wigilią zgasło światło. Nie było prądu w całej okolicy, nie było wody. Tragedia dla współczesnej gospodyni. Lodówka pełna smakołyków, w domu ciepło, przytulnie, ale jak ugościć rodzinę? Zima, więc lodówka za oknem, na tarasie czy balkonie. Wody troszkę zawsze jest, a to w butelkach, to w czajniku. Można było przetrzymać. Ale bez telewizora, komputera? Co było robić?

Ja nie miałam takiego problemu, bo bardzo lubię nastrój, jaki tworzą palące się świece. Dziś mamy jeszcze zapachowe. W całym domu aromat palącego się wosku z nutą świerkowych gałązek łaskotał nasze zmysły, otulając domowników. Siedziałam

z kilkuletnim synkiem w fotelu (mąż był w drodze po rodziców) i śpiewałam mu kolędy. Wszystkie, jakie znałam z jego prezentu (książki kolęd i pastorałek dla najmłodszych). Ponad godzinę śpiewy moje słyhać było (w tej ciszy) u sąsiadów, o czym przekonałam się nazajutrz, kiedy to chwalili mnie i dziękowali za koncert. Kiedy moje gardło poddało się, zaczęłam opowiadać synowi bajki, które mi szeptała moja mama w podobnych okolicznościach...

Nadszedł czas pasterki (u nas o 22.00), więc mój synek bardzo chciał na nią pójść. Wzięliśmy latarkę i wyszliśmy na dwór. Do kościoła mieliśmy kilometr. Wokół ciemno, że oko wykol. Domy opuszczone spały, strasząc czarnymi plamami. Szybko dotarliśmy na miejsce. W środku ciemności. Po pewnym czasie zapalają się świece, jedna po drugiej. Nieśmiało, co niektórzy próbują śpiewać kolędy. Prądu nadal nie było. Po kilku minutach światło świec i głośny śpiew tłumu rozjaśniły kościół. W rogu, w maleńkiej szopce pod zielonym drzewkiem - Święta Rodzina. Ależ nam biły serca! Jak dzwony! Mój synek każdą dzienną mszę przespał, ale nie tą! Prądu nadal nie było. Więc msza odbywała się przy świecach i śpiewach w półmroku. W oddechu wiernych minęła szybko, ale jej klimat, czar, jaki rozciągał widok choinek, żłóbka w spokoju, ciszy, cieniach tańczących po ścianach zstawił każdemu upominek niesamowitych wrażeń. Wychodząc z kościoła witały nas piękne gwiazdy padającego śniegu. Prawdziwa bajka. Wiatr ucichł, śnieżne dywany i gwiazdzone mroźne niebo oświetlały nocny komnatę. Tym razem nikt się nie spieszył. Uczestnicy tej magicznej uroczystości wracali spacerkiem, rozmawiając szeptem, tak jakby bali się obudzić nowo narodzone Dzieciątko...

Dziś, cóż - jakby to ktoś powiedział - inne czasy, ale czy koniecznie, te inne czasy muszą narzucać nam rytm choćby tych sympatycznych momentów życia, świątecznych chwil? Przecież to od nas zależy, jak je przeżyjemy.

A za oknem biały puch niech ścieli podwoje dla Najwyższego...

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

aromat palącego się wosku łaskotał nasze zmysły

Zatracamy wolność i tożsamość

Kraj traci ludzi w wieku produkcyjnym. Oni nie zaśpiewają słów piosenki „ja to mam szczęście, że żyć mi przyszło w kraju nad Wisłą”. To wszystko bardzo, bardzo mnie boli

Kiedy trzy lata temu zamieszkałam na mojej „drugiej ojczyźnie” na wsi przeżywałam zbyt intensywnie to, co się wokół mnie dzieje. Nie była to duża wieś, ale żyło tu sporo rodzin. Teraz się skurczyła. Z powierzchni ziemi zniknęły - piękny pałac z zabudowaniami gospodarczymi i cztery budynki mieszkalne. Takich wsi oddalonych od miast, komunikacji kolejowej i ograniczonej autobusowej jest więcej.

Mój świat młodości, który mnie nie rozpieszczał miał swój urok. Mimo braku lukratywnych perspektyw na przyszłość była nadzieja na lepsze, a przede wszyst-

kim była praca i radość, że ona jest. Młodzi chcieli się uczyć, każdy szukał możliwości wznieść się wyżej i miało się tę satysfakcję, że w wyuczonym zawodzie czekała na młodych praca, a z nią związana stabilizacja życiowa. Wszystko w życiu, co miało wartość, okupione było rzetelną i uczciwą pracą. Tak byłam wychowana.

Ludzie na tych terenach mają ogromne problemy z pracą, z dojazdami do niej. Nie zawsze trafiają na uczciwego pracodawcę. Zarobki mizerne, a co gorsze, zapłata za pracę przeciąga się nawet do trzech miesięcy - i albo ją otrzyma, albo nie. Co się stało z prawodawstwem w Polsce, które pozwala na takie zachowania? Praca i wynagrodzenie w zakładach prywatnych nie powinny być stosowane wg zasady „wolność Tomku w swoim domku”. Cóż z tego, że są umowy, które nie są respektowane przez pracodawców. Nie ma kar administracyjnych. Jest jeszcze wyjście - droga sądowa. Tu też potrzebne są pieniądze, więc niektórzy machają ręką w geście oznaczającym rezygnację. Utracili wiarę w sprawiedliwość.

Kiedy ja pracowałam - co prawda w zakładach państwowych (a nie prywatnych) - nie do pomyślenia było przełożenie wypłaty dla pracowników choćby o jeden dzień. Za co w takiej sytuacji ma żyć kilkusobowa rodzina z dziećmi, którym trudno zrozumieć,

że braknie chleba? Pozostaje zwrócić się z prośbą o pomoc do gminy. Dla wielu z nich jest to upokarzające. Pracę traci coraz więcej osób. Padają małe zakłady i placówki handlowe pod ciężarem konkurencji. Zalewa nas chińszczyzna, a nam się nic nie opłaca - nawet wyhodować czosnek krajowy, który trudno kupić.

Dobrze, jeżeli las obdarzy urodzajem jagód i grzybów. Można jakoś przetrwać i uregulować zaległe opłaty podatkowe i energetyczne. Całe rodziny przemierzają lasy wzdłuż i wszerz. Dobrze, że na miejsce, tzn. do wioski przyjeżdżają samochody skupiające jagody i grzyby. Ja w czasie szkolnych wakacji zbierałam też jagody, a mama nosiła je w wiadrach na nosidłach do skupu w Kawczu, tj. miejscowości oddalonej o cztery kilometry. Kupiła mi potem materiał na sukienkę, którą pamiętam do dziś - bo to była moja pierwsza sukienka, na którą sama zapracowałam.

Po latach, już dorosła, zamężna dostałam od rodziców dwa wiadra truskawek na własne potrzeby. Niosłam je na nosidłach jak mama do Kawcza. Niosłam i płakałam. Było bardzo ciężko. Mama niosła nie raz i nigdy się nie skarżyła.

Młodzi uczą się w miarę swoich zdolności. Starają się zdobyć zawód, ale potem nie ma dla nich pracy. Zaczyna panoszyć się wulgaryzm i agresja. Jest jeszcze wyjście - wyjazd na zachód - Niemcy, Anglia, kraje skandynawskie. Jadą nawet ci po studiach ciąć szparagi, rwać truskawki czy borówki. Imają się różnych prac, byleby zarobić. Poznają smak życia od tej twardej strony - nieraz gorzki. Często nie chcą wracać. Kraj traci ludzi w wieku produkcyjnym. Oni nie zaśpiewają słów piosenki „ja to mam szczęście, że żyć mi przyszło w kraju nad Wisłą”. To wszystko bardzo, bardzo mnie boli, dokąd zmierza wolny kraj? Nie chcę być Kasandrą, ale jest we mnie lęk, że przez taką sytuację i wyprzedaż majątku narodowego, traci się wolność, tożsamość - najcenniejsze wartości narodu.

**Eugenia Ananiewicz
Małecino**

Fot. J. Maziejuk



poznają smak życia od twardej strony

Do sali w Starostwie Powiatowym, gdzie ma miejsce kolejne spotkanie poetów wiejskich, wchodzi ktoś zupełnie nowy. Jest to kobieta, widać u niej zażenowanie, stąpa nieśmiało, jest prowadzona przez koleżankę. Dlaczego jest prowadzona? Ponieważ ta pani nie widzi.

Poprzez ubiór, makijaż, starannie uczesane włosy, przebija niezwykła elegancja, na palcach pobłyскуje biżuteria. Któż to taki? Po chwili już wszyscy zebrani wiedzą, że jest to Teresa Ławecka ze Słupska. Jej osoba wzbudziła niezwykle zdziwienie, jakim sposobem pisze swoją poezję, jak ją odczytuje, poprawia, uzupełnia? Zamieściła w dwóch kolejnych antologiach swoje wiersze, które wzruszają, dają wiele do myślenia.

Tak się złożyło, że poznałam panią Teresę bliżej. W pewien ciepły wrześniowy wieczór zaprosiła mnie do siebie, do domu. Otwiera drzwi uśmiechnięta blondynka, bardzo się cieszy z odwiedzin, zaprasza do salonu, i tu kolejna niespodzianka. Niezwykle urządzone pokój, ściany toną w lustrach, lustra od podłogi po sufit. Pytam, dlaczego taki wystrój, skoro i tak się w nich nie widzi? Okazuje się, że kiedyś tak właśnie chciała mieć urządzone mieszkanie, marzyła być otoczona lustrami, aby się móc w nich przeglądać...

Gospodyni zaprasza do pięknie nakrytego stołu, do podwieczorku. I gdyby nie zbyt blisko krawędzi stołu postawiona miseczka, nikt by nie uwierzył, że tak pięknie to wszystko ustawiła osoba niewidząca. Pani Teresa zadziwia na każdym kroku, po mieszkaniu porusza się, ba wręcz biega jakby nic jej nie przeszkadzało. Prowadzi do innego pokoju, w którym na co dzień pracuje. Jest tu komputer, laptop, są urządzenia odczytujące, naprowadzające, jest dyktafon. W trakcie rozmowy dowiaduję się, że przyjechała do Słupska w roku 1977 studiować biologię, z Trzcianki koło

Pani Teresa



Fot. J. Maziejuk

Ściany toną w lustrach, lustra od podłogi po sufit. Pytam, dlaczego taki wystrój, skoro i tak się w nich nie widzi? Okazuje się, że kiedyś tak właśnie chciała mieć urządzone mieszkanie, marzyła być otoczona lustrami, aby się móc w nich przeglądać...

Piły. I tak Słupsk stał się miejscem, z którym związała swoje życie. To życie, które przyniosło jej miłość, radość, nadzieję, rozstanie i dotknęło też boleśnie. Tu poznała i pokochała swego męża, urodziła dwóch wspaniałych synów. Starszy ma na imię Łukasz, młodszy Wawrzyniec jest żonaty z Aleną (Białorusinką). Obaj mieszkają za granicą, Pani Teresa, jak każda mama, tęskni i kocha swoje dzieciaki. Z synami ma bardzo częsty kontakt.

Wcześniej rozstała się z mężem, zajęła się sama wychowaniem dzieci, pracą na tzw. dwóch etatach. W Urzędzie Miejskim była sekretarką przy prezydencie miasta i zajmowała się domem. Kiedy wszystko w jej życiu zaczęło się w miarę już jakoś układać, los niemiłosiernie postanowił ją skrzywdzić. Pewnego dnia po przyjeździe z pracy do domu stwierdziła, że w mieszkaniu jest pełno dymu, odruchowo podbiegła do okna, aby je otworzyć. Ku jej przerażeniu dymu wcale nie ubywało i nawet nie było go czuć. Zrozumiała, że coś niedobrego dzieje się z jej oczami. Początkowo myślała, że jest po prostu zmęczona, niestety to nie miało. Zaczęła szukać pomocy u lekarzy.

Wkrótce okazało się, że ma chorobę bardzo rzadko występującą, groźną i nieuleczalną. Stopniowo traciła wzrok. Zrozumiała, że za pewien czas przestanie widzieć. Dlatego chciała zabrać w ten swój nowy, inny świat jak najwięcej. Jak najwięcej zapamiętać twarzy, a przede wszystkim twarze swoich dzieci, bliskich, przyjaciół. Namyślnie zaczęła czytać. Czytanie stało się wprost jej obsesją. Żał było jej każdej chwili, czuła, że gdy otoczy ją zupełna ciemność, wszystko będzie stracone. Czytała, co wpadało w ręce, i wielkie dzieła i te mniejsze. Czytała dniami i nocami, chciała jak najwięcej czerpać z książek. Niestety, przyszedł kres, kiedy nie dało się też uratować jednego oka, które jeszcze przez jakiś czas funkcjonowało. Otoczyła ją zupełna ciemność. Synowie, którzy byli jeszcze przed dziesiątym rokiem życia, otoczyli ją swą dziecięcą miłością, dawali otuchy i sił do życia. Wiedziała, że nie może się poddać, że mimo wszystko trzeba się zmierzyć z nowym wyzwaniem. Ale łatwo było powiedzieć: zmierzyć się. Gorzej było to robić.

Nigdy nie okazywała przy dzieciach łez i słabości. Kiedy jednak pewnego ra-



Fot. J. Maziejuk

zu rozpląkała się, otoczyły ją swymi małymi rączkami, przyrzekły, że będą pomagać mamie we wszystkim. Będą gotować, robić zakupy, sprzątać. I tak było. Czesali jej włosy, nawet robili makijaż. Na początku jeszcze malowała sobie oczy, chłopcy robili to bardzo fachowo. Mimo wszystko było jej ciężko, przychodziły chwile zwątpienia i załamania. Wtedy pomagali dobrzy sąsiedzi, przyjaciele, każdy chciał pomóc. Ma do dziś

najwierniejszą przyjaciółkę o imieniu Dorota. Kiedyś w rodzinnym miasteczku też jej serdeczna przyjaciółka tak miała na imię. Ale nie widzi jej już od siedemnastu lat!

O pani Teresie można powiedzieć: niepokonana! Mimo swej choroby nie poddała się. Jest naczelnym redaktorem Gazety Mówionej, której ukazał się już osiemdziesiąty piąty numer. Gazeta ta jest wydawana przez Polski Związek Niewido-

mych w Słupsku. Pani Teresa ma swoją stronę internetową, na której zamieszcza swoją poezję i artykuły. Praca ta daje jej wiele satysfakcji, jest nią pochłonięta bez reszty i oddana jej całym sercem. Bardzo dużo czasu poświęca pracy społecznej na rzecz innych osób, szczególnie niewidomych i słabo widzących. Potrafi dotrzeć do każdego z osobna, swoim przykładem pokazuje, jak można żyć normalnie. Dziś

Moja biblioteka

Biblioteka to było najbardziej magiczne miejsce we wsi. Najbardziej tajemnicze i najczęściej uczęszczane ze wszystkich miejsc, pomijając oczywiście pastwiska, szkołę i sklep. Ten ostatni również był miejscem czarownym i pożądanym, ale oczywiście z innych powodów

Do tego przybytku najpierw chodziłam z mamą, czasami z babcią i miałam nakazane zachowywać się cichutko, nie przeszkadzać, najlepiej nie odzywać się. Prowadzono tam rozmowy ściszym głosem i nie dotyczyły absolutnie spraw codziennych. Pachniało trochę kurzem, trochę farbą drukarską, ale o tym dowiedziałam się dużo później. W tej ciszy, spokoju stały sobie książki, z których mama wybierała jedną lub dwie i potem czytała na głos. Nie wolno ich było ruszać pod żadnym pozorem, leżały zawsze poza zasięgiem rąk moich i brata. Mogliśmy słuchać i oglądać tylko w jej obecności. Mama czytała nam w wolnych chwilach, których nie miała za wiele i zawsze kończyła, gdy moja dziecięca wyobraźnia wpisywała mnie w świat bohaterów, czyli w najmniej oczekiwanym momencie akcji. Brutalnie wyrwana z baśniowej rzeczywistości, snułam przypuszczenia i domniemania, co jest dalej i marzyłam o samodzielności w penetrowaniu tego świata, docieraniu do jego różnorodności. W baśniowym świecie wszystko było lepsze: słońce przyjaźniejsze, deszcze łagodniejsze, zwierzęta nie były groźne, praca lżejsza, a chleb smaczniejszy. Zupełnie inny świat. I jest on zamknięty w bibliotece, tam sobie żyje i dlatego nie wolno zachowywać się hałaśliwie, by go nie spłoszyć. Pragnęłam sama sobie szukać innych światów, ale musiałam czekać. Aż nadszedł ten

czas, że mogłam stać się pełnoprawnym samodzielnym petentem tej magicznej instytucji, oferującej tyle żyć, ile książek na półkach.

Aby się wpisać w poczet czytelników, poszłam z mamą, bo to ona musiała podpisać zobowiązanie, że bierze na siebie odpowiedzialność za książki, terminowy zwrot w nienaruszonym stanie. Potrzebna była również rekomendacja nauczycielki, że umiem czytać na tyle sprawnie, iż na pewno będę czytała, a nie tylko oglądała obrazki. Pomysłnie zdałam egzamin z czytania ze zrozumieniem, mimo surowego oblicza pana Franka, który nie bardzo wierzył w moje umiejętności, o których stało czarno na białym na karteczce od nauczycielki, zresztą jego żony, i zapewnień mojej mamy, że w razie czego będzie mi służyć pomocą.

- A wy czytać umiecie? - zapytał mamę pan Franek i dopiero wtedy zrozumiałam, że to całe poważne zapisywanie do biblioteki jest tylko grą, bo przecież mama czytała wieczorami dla sąsiadów całą trylogię Sienkiewicza, wszystkie dostępne pozycje Dumasa i wiele książek, wypożyczanych z tejże biblioteki.

W latach sześćdziesiątych jeszcze trwała akcja walki z analfabetyzmem na polskich wsiach. Wielu starszych mieszkańców, szczególnie przybyszów ze Wschodu nie umiało czytać i pisać. Musieli to nadrobić pod groźbą utraty ziemi. Mama wie-

czorami pomagała im w odrabianiu zaległości i tym sposobem zdobyć upragnione świadectwo.

Tak więc zostałam samodzielną czytelniczką i mogłam chodzić do biblioteki, kiedy tylko chciałam, wypożyczać książki jakie chciałam, a nie jak dotychczas z mamą, która decydowała, co mi wypożyczyć i co przeczytać. Byłam przeszczęśliwa. Okazało się jednak, że to nie do końca jest tak, jak sobie wymarzyłam początkowo, to pan Franek mi wybierał, bo mój pierwszy wybór to było wielkie tomiście. A ja po prostu chciałam, żeby było jak najwięcej czytania, bo sądziłam w swej naiwności, że muszę książkę trzymać dwa tygodnie. Kiedy bibliotekarz się zorientował w mojej nieświadomości, powiedział, że mogę przychodzić nawet codziennie. To też chodziłam, a raz zdarzyło się, że jeszcze tego samego dnia chciałam wymienić i wtedy wspaniałomyślnie pozwolił mi wypożyczać po trzy książki, żeby mu się nie naprzykrzać codziennie. Chodziłam więc co drugi dzień. Ale dzięki temu nie pamiętam, by szkolne lektury były dla mnie zmartwieniem, jak słyszę teraz od uczniów. Zawsze przeczytane przed czasem i zawsze starannie opracowane. Aha! Kiedy już zdarzyło mi się powielić tę samą książkę kolejny raz, bibliotekarz nakazał mi uczyć się tytułów na pamięć, a to przecież niemożliwe i wtedy mama zaproponowała mi założenie „Dzienniczka książek przeczytanych” i notowanie w nim autora, tytułu, wpisywanie wybranego fragmentu, krótkie streszczenie. To było w klasie trzeciej. W klasie czwartej wszyscy musieli prowadzić dziennik lektur. Nim skończyłam szkołę podstawową, zapisałam dwa bruliony. Zawsze się przydawały, w szkole średniej i nawet już na studiach polonistycznych.

W jednym pokoju wśród regałów stało biurko, szuflady z katalogami książek, z alfabetem starannie wypisanym na każdej szufladzie. Kaligrafia to był jeden z przedmiotów w szkole, a tu była praktyczna lekcja wykorzystania tych umiejętności. Na wprost biurka znajdował się regał z książ-

nie maluje już swoich pięknych piwnych oczu, nosi ciemne okulary i jest najnormalniejszą kobietą, która ma marzenia, kocha piękne otoczenie, utrzymuje idealny porządek w mieszkaniu, dużo czyta na specjalnych urządzeniach, ma piękne kolorowe ubrania, zwiewne sukienki. Przyrzekła sobie, że nigdy nie włoży na siebie, szarych rozciągniętych swetrów i starych przydeptanych domowych kap-

ci. Ma piękną biżuterię, szczególnie kocha bursztyny, robi na drutach szale i swetry.

Pod powiekami zatrzymała na zawsze piękno świata, zapamiętała kolory nieba, kwiatów, odróżnia pory roku, czuje kiedy spadnie pierwszy śnieg, ubiera zawsze choinkę na święta. Przyglądając się jak pewnie czuje się w swym mieszkaniu, nawet pokazując fotografie swych synów, ma się wrażenie, że to nie może być praw-

dą, że nie widzi. Nie musi zapalać światła kiedy nastaje zmierzch...

Na pożegnanie pani Teresa pokazuje jeszcze jeden wynalazek techniki, mianowicie urządzenie, które po dotknięciu naszych ubrań oznajmia, jakie kolory mamy na sobie, jakiego koloru są włosy. Jest to fenomenalny wynalazek i pomocny osobom niewidzącym.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

kami dla dzieci, ciasno upchanymi, ale za to pod okiem bibliotekarza. Na grzbiecie nie było tytułów, bo książeczki zbyt cienkie, więc żeby znaleźć coś dla siebie, należało każdą książkę wyjąć i przeczytać tytuł. Nie było łatwo trafić z nią w to samo miejsce, a pan Franek bacznie obserwował i denerwował się zawsze, gdy wypożyczający nie chował książki w to samo miejsce. Opracowałam sobie system wysuwania dwóch książek i w ten sposób, gdy jedną oglądałam, druga strzegła miejsca. Ale i tak zdarzało się, że wyciągałam i nie pamiętałam, skąd. Oj, to był wtedy strach. Szybko przeczytałam dziecięcą regał, wypełniony dydaktycznymi pozycjami Konopnickiej, Porazińskiej, Jachimowicz, Brzechwy, autorów piszących pod potrzeby aktualnie obowiązującej polityki społecznej. Potem wszystkie „Świerszczyki” archiwalne i zaczęły mi się książeczki dublować. Wtedy pan bibliotekarz pozwolił mi sięgnąć na wyższą półkę, gdzie znajdowały się pozycje poważniejsze: baśnie i powiastki. A i te dosyć szybko „przerobiłam”. Zawsze kojarzy mi się to słowo, nagminnie używane przez, już nie tylko uczniów, ale i nauczycieli w stosunku do omówionych lektur - z przerobieniem starych zużytych gazet na makulaturę, a mama ponadto dodawała: można sweterek przerobić na kamizelkę, spodnie na spódnicę, ale książki się nie da przerobić, więc nie mów „przerobić”, co znaczy „zmienić”, lecz „przeczytać”, „omówić”, „przejrzeć”. Każde słowo ma nie tylko inne brzmienie, ale i znaczenie. Mów zawsze precyzyjnie. Nie tylko mama była uczulona na precyzyjne wyrażanie myśli, ale i generalnie nauczyciele zwracali na to uwagę. Obecnie wszyscy przerabiają lektury - na co?

W pierwszym pomieszczeniu znajdowała się czytelnia, ze stolikami - czterema, pięcioma? - nie pamiętam. Były tu też regały z książkami, ale takimi, których nie wolno było zabierać do domu, pozycje do korzystania na miejscu, ponadto mnóstwo gazet, najczęściej rolniczych, np. „Gromada Rolnik Polski”. Wspominam ten tytuł, bo mnie jako dziecko dziwił, że tylko do rolnika polskiego, a wiedziałam, że są rolnicy ukraińscy, radzieccy... Zastanawiałam się, czy inni też mogą jej czytać. Ponadto prawie kompletne „Świerszczyki”, „Misie”, „Świat Młodych”, którymi się zaczytywaliśmy, często na głos, żeby wszyscy mogli posłuchać.

W przeszklonej szafie leżały gry planszowe. Ich też nie wolno było wybierać samodzielnie. Najpierw należało precyzyjnie określić, w co się chce grać, dobrać partnerów i wtedy zgłosić panu Frankowi, który podawał je z szafy. Po zakończeniu gry należało oddać pudełko na biurko. Po sprawdzeniu kompletności i stanu technicznego można było odetchnąć. Biada, jeśli czegoś brakowało! Kiedy teraz obserwuję traktowanie gier w szkolnych świetlicach - po miesiącu, jeszcze nie opanowawszy zasad, już nadają się do wyrzucenia. W mojej bibliotece co najwyżej stała się papierowa plansza i „siadła” nakrywa na pudełku. Nikt nie otrzymał gry, jeśli nie rozumiał zasad! Najpierw musiał czytać instrukcję i wykazać się jej zrozumieniem. Na najwyższej półce w tej szafie znajdowała się płytoteka z muzyką klasyczną, a na szafie stał adapter. Czasami pan Franek nastawiał jakąś płytę i opowiadał o muzyce. Najchętniej słuchał arii operowych i operetkowych w wykonaniu Kiepur. Ale to w ściśle dobranym gronie. Najczęściej nastawiał płytę z utworami Mazowsza i Śląska.

Biblioteka mieściła się nad siedzibą Gromadzkiej Rady Narodowej, a potem Wiejskiego Ośrodka Zdrowia, aż została przeniesiona do siedziby po byłej czteroklasowej szkole podstawowej, gdy tę zlikwidowano z racji niewielu uczniów i przeniesiono do pobliskiej wioski peegerowskiej, gdzie z kolei zawsze był wyż demograficzny. Wchodziło się do niej, za dnia przez drzwi i korytarz urzędu, a po piętnastej „drzwiami kuchennymi” albo inaczej „od tyłu”. Najpierw należało otworzyć puszczając furtkę, wejść po dwóch stopniach, potem wygracowaną dróżką do następnych stopni, a było ich trzy, cztery i tu przed samymi drzwiami leżała wycieraczka, słomianka, należało porządnie wytrzeć buty, bo brudne podeszwy w bibliotece, zapuszczane, czy też zabłocone to niewybaczalne przestępstwo, takie samo jak brudne ręce w zetknięciu z książką. Nierzadko pan Franek sprawdzał, czy ręce wypożyczającego są czyste, godne dotykania książki. O czystość butów wszyscy dbali: żeby się dostać od furtki do upragnionego regału, można było przejść kontrolę butów kilkakrotnie - sprzątaczkę, urzędników, no i bibliotekarza.

A wracając do tych drzwi: zawsze otwierałam je delikatnie, żeby nie narobić hałasu i nie narazić się na burę od urzęd-

nika lub urzędniczki, czyli sekretarki pana sekretarza - potem w miarę dyskretnie przemknąć korytarzem w kształcie kwadratu z cementową posadzką pomalowaną na czerwono, ze ścieżkami wytartymi od częstego chodzenia i prowadzącymi do pomieszczeń urzędniczych. Generalnie to uraz do wchodzenia do urzędów i nie tylko, przez ciężko otwierające się wielkie drzwi pozostał mi do dzisiaj. I wchodzenie chociażby do starostwa napawa mnie



Fot. Archiwum

mama czytała dla sąsiadów całą trylogię sienkiewicza

dziwnym uczuciem, tym bardziej że moje wejście śledzone jest przez strażnika zza okienka. Najczęściej czekam, aż ktoś jeszcze będzie wchodził i wtedy mi rażniej. Dlatego bardzo mi się podobają drzwi samoczynnie się rozsuwające, nim jeszcze ich dotknę.

Ściany korytarza były dwuczęściowe: lamperia do połowy pomalowana brązowo burą olejnicą, powyżej ściana, na której wałek zostawił wzór rachitycznych gałązek w bliżej nieokreślonej barwie i kształcie, poobwieszana tablicami, na których przyczepiano informacje, obwieszczenia, nakazy i wykazy. Nie zatrzymując się, przemykałam pospiesznie do następnych drzwi, prowadzących do celu. Na szczęście były one na wprost, najczęściej uchylone. Za nimi znajdowała się malutka sień, ciemna, przeważnie pozbawiona światła i tu również znajdowały się drzwi prowadzące na podwórko, „drzwi kuchenne”, jak mawiał pan Franek, uruchamiane wtedy, gdy urząd był nieczynny, czyli po piętnastej. W tej ponurej sieni znajdowały się strome, skrzypiące schody z rozchwianą poręczą. Tę poręcz czasami naprawiał bibliotekarz, ale one i tak wkrótce ulegały rozchwianiu. Schody również były częściej nieoświetlone niż oświetlone i zimowym zmierzchem trzeba się było najczęściej kierować światłem wydobywającym się szparami w drzwiach bibliotecznego pokoiku. To światło wskazywało, że biblioteka jest czynna, bo tam u góry obowiązywała bezwzględna cisza i tylko w niektóre dni można się było zachowywać głośno, w czasie opracowywania projektów przedstawień, wprowadzania wstępnego scenariusza uroczystości. Bo pan Franek w ramach swoich obowiązków miał przygotowywać program uświetniania okolicznościowych uroczystości państwowych - rocznicę rewolucji, powstania armii ludowej, 22 lipca i zakończenia II wojny światowej, a także 1 maja. Owe sceniczne popisy urozmaicały nudne przemówienia oficjeli, czytane z pliku kartek.

W bibliotece dyktatorsko rządził pan Franek - drobny, szczupły, energiczny, nieprzewidywalny w reakcjach, choleryk, u którego od żartu, śmiechu, do groźnego krzyku nie było tak daleko. Czasem mogła to być kwestia kilkunastu, no, może kilkadziesiąt sekund. Tak nagle, jak pan Franek wybuchał, tak szybko przygasał i wracał mu uśmiech na twarz. A miał o co wybuchać - niszczenie książek, gubienie pionków do gry, zapodziańnię się plansz, które grający gdzieś tam wciskali na niewłaściwą półkę, spóźnianie się, czyli brak szacunku dla wyznaczonego czasu. Często pytał nas o czym mowa w książce i trzeba było widzieć minę pana, gdy zorientował się, że książka nie była przeczytana!!! I jeśli ktoś nie miał wystarczająco dobrych argumentów na swoją obronę, musiał zabrać książkę z powrotem do przeczytania. Niektórym z czytelników w ten sposób udawało się

trzymać jakąś pozycję i dwa, trzy miesiące. Kiedyś bardzo się na to krzywiłam. Dopiero po latach doceniłam rolę bibliotekarza w procesie uczenia się opowiadania treści, widząc jak ci, nieprzeszkoleni przez pana Franka dukają, nie mają pojęcia o ważnych i mniej ważnych zagadnieniach z lektur. Ale nas, w naszej wsi można było przećwiczyć, jeśli mój rocznik liczył sobie dziesięć, a czteroklasowa szkoła nie przekraczała czterdziestu uczniów, to mógł nam poświęcić czas. Znał naszych rodziców, wszystkie dzieci z imienia i nazwiska, wszystko o nas wiedział i potrafił bezbłędnie wskazać nawet najsprytniej ukrywającego się winowajcę nieoddania książek w terminie, zarzucenia pionków, czy kostki do gry. Nie byliśmy anonimowi.

Jak sięgnę pamięcią, u pana Franka na szacunek zasługiwał czas, bo czas nie stoi w miejscu tylko ciągle biegnie, więc nie wolno się było spóźniać z niczym, ani z oddaniem książki w terminie dwóch tygodni, ani przychodzeniem na próby, gdy należało przygotować akademię z okazji... jakiegokolwiek, czy nawet na umówione rozgrywki w warcaby, chińczyka i szachy.

Tak. Królestwo pana Franka to było magiczne miejsce, gremialnie nawiedzane od późnej jesieni do wczesnej wiosny, bo pozostałe pory roku zarezerwowane były na pomoc w gospodarstwach, przez dzieciaki, a i młodzież chętną do rozegrania partyjki szachów. Bo pan Franek lubił grać w szachy i uczył tego wszystkich chętnych, a nauczawszy podstawowych ruchów z przyjemnością wygrywał kolejne partie, krótko objaśniając, jakie to partner popełnił błędy. Zresztą uczył wszystkich gier i niby Cerber pilnował, aby nie oszukiwano się w grze, nie kłamano i nie wykorzystywano słabszego przeciwnika. A

oko miał wprawne i zawsze dostrzegał, kto oszukał i kto nie zna zasad, albo próbuje je nagiąć do własnej pozycji. Taki delikwent ściągał na swoje barki burzę i reprimendę. Można było tu rysować na bardzo dużych kartkach, malować farbami, wycinać, naklejać - każdy znalazł dla siebie zajęcie. Toteż bywały tu rodzeństwa - połączenie przyjemnego z pożytecznym, szczególnie, gdy za oknem szalała zimowa zawierucha, to przy piecu dobrze nagrzanym, w towarzystwie przyjemnie upływał czas.

Bibliotekarz siedział najczęściej przy swoim biurku, wypisywał karty, robił statystyki wypożyczeń i bardzo dużo czasu poświęcał leczeniu chorych książek, czyli książek po przejściach: pieczołowicie kleił



naderwane kartki skleja za pomocą kleju roślinnego, wklejał kartki wydarte, przycinając wąskie paski szarego papieru i wklejając je na właściwe miejsce, potem okładał w szary papier i kaligraficznie wpisywał na grzbiecie nazwisko i imię autora, tytuł i sygnaturę.

Nigdy nie niszczyłam książek. Były dla mnie zbyt cenne, więc nawet nie podkreślałam niczego ołówkiem, nawet w podręczniku, chociaż brak podkreśleń często uchodził za brak pracy domowej. Kilka takich zapisów w zeszycie i bardzo poważna rozmowa z mamą ręką zmusiło mnie do użycia ołówka, ale starałam się tak podkreślać, żeby pozostawał tylko lekki ślad i jedno pociągnięcie myszką usuwało go bezpowrotnie. Za dbałość o podręczniki otrzymywałam przez wiele lat bony na nowy komplet.

Biblioteka to był cudowny, różnorodny świat, stojący na półkach i zapraszający do zwiedzania, wystarczyło tylko zacząć czytać. A w każdej książce inny obraz, inne przygody. Dalekie podróże w czasie i przestrzeni, bez konieczności opuszczania miejsca. To było najwspanialsze. Czytanie i utożsamianie się z bohaterami. Dla nas to były namiastki kolonii, wczasów, podróży wakacyjnych. Gospodarskie dzieci nie wyjeżdżały nigdzie w czasie wakacji, bo musiały pomagać w gospodarstwie - od wczesnej wiosny do późnej jesieni, do zakończenia wykopków. Dzieci z pobliskiego pegeeru wyjeżdżały na wycieczki, na kolonie, miały wakacje. Ich mamy najczęściej były w domu. Nasze ciągle w polu, w lesie, w ogródkach, na zarobku i odrobku, więc musieliśmy, oprócz pasania krów, pielienia, sprzątania, zajmować się rodzeństwem i to nie tylko swoim, ale często dziećmi sąsiadów w ramach pomocy. No bo i co miały kobiety zrobić? Pole trzeba było obrobić, posiać i zebrać. Nie był dziwnym widok kobiety powożącej furmanką, bronującej pole, idącej za lekkim pługiem, bo ich mężowie często pracowali na „państwowym” i dopiero po czwartej mogli ruszyć w pole.

Pan Franek palił sporty w szklanej lufce, grał na akordeonie, lubił żartować i opowiadać niestworzone historyjki. W ramach organizowanych zajęć, uczył dzieciaki tańca i piosenek ludowych, a w szkole uczyliśmy się odpowiednich wierszyków. Stroje, koniecznie krakowskie, mamy szyły z resztek materiałów i z tego, co udało się dostać w powiecie, bo pan Franek miał znajomości. Próby odbywały się w świetlicy wiejskiej na prawdziwej scenie. I tam odbywały się przedstawienia, czyli prezentacje tego, co uczyli nas w bibliotece i w szkole. Którejś zimy nasze mamy zrzeszone w KGW i pan Franek przygotował przedstawienie - kobiety pod jego kierunkiem wystawiły utwór Michała Bałuckiego „Grube ryby”. Był jedynym mężczyzną w zespole i kobiety musiały grać role męskie. Zdobyły wówczas uznanie na powiatowym przeglądzie, ale ja pamiętam tylko, że problemem największym było uzyskanie informacji, jak się tańczy kadryla.

W mojej wsi była również okazała świetlica wiejska. Olbrzymia, jak na dwadzieścia parę zamieszkałych domów. Po-

siadała scenę z kuluarami i zaplecze gospodarcze, pozostałość po niemieckich mieszkańcach, którzy musieli opuścić te tereny. Mama mówiła, że kiedy przybyła do tej wsi na początku lat 50., wiele domostw stało pustych, rozszabrowanych i zdewastowanych przez pierwszych osadników, a właściwie złodziei, bo obejmowali w posiadanie gospodarstwo i po gruntownym przekopaniu w poszukiwaniu ukrytych bogactw z wrywaniem podłóg i zbijaniem tynków włącznie, wyjeżdżali. Wiele z tych domów popadło w całkowitą ruinę i za mojej pamięci były to ledwo widoczne gruzowiska porośnięte piołunem, pokrzywami i ostami. Tak więc budynek świetlicy, przysadzisty, obszerny, o wiele za duży jak na małą wioseczkę, stał w centrum wsi i nigdy nie można go było dogrzać, mimo dwóch solidnych pieców. Dziedzictwo niewątpliwie wyjątkowo przydatne na działania integracyjne. Wszak mieszkańcy to osadnicy i przesiedleńcy: Ukraińcy, Białorusini, Łotysze, Kaszubi i Polacy z Małopolski, Kielecczyzny, ot, przypadkowy zbiór, z którego należało stworzyć integralną społeczność, nowoczesną, która tylko mgliście pamiętałaby swoje korzenie. I miało to sens. Ale to już inny temat.

Duża, przestronna świetlica wiejska, aczkolwiek już w latach sześćdziesiątych zapuszczona i wymagająca remontu, na które nigdy nie było pieniędzy w gromadzkiej kasie, dobrze służyła mieszkańcom. Tu miały zawsze finał wszelkie organizowane przez bibliotekę przedstawienia, gry i zabawy. Tu dwa razy w roku przyjeżdżało z filmami kino objazdowe, o które starał się zawsze bibliotekarz. Tu odbywały się wiejskie zabawy, na które przybywali młodzi i starsi z okolicznych wsi. Na placu przed świetlicą i za świetlicą, przy dźwiękach skocznie przegranej muzyki, dochodziło do bójek i siłowych rozstrzygnięć spornych kwestii między osłkami z różnych wsi, w wyniku czego sąsiadujące płoty traciły sztachety. Każda uroczystość: kino objazdowe, przedstawienie, pokaz wypieków i wyrobów na podsumowanie kursu gotowania i pieczenia, rewia mody po szczęśliwym zakończeniu kursu kroju i szycia było to wielkie święto wsi.

Do biblioteki wszyscy się garnęli, a szczególnie były te pokoiki oblegane w czasie długich zimowych wieczorów. Tam przychodzili starsi, by poczytać gazety, wypożyczyć książkę, doskonalić się, bo przede wszystkim szkolenia odbywały się właśnie w tym pomieszczeniu. Tu odbywały się spotkania z przedstawicielami kultury z powiatu. A to były czasy jeszcze przed telewizyjne i wczesno telewizyjne, gdy program zaczynał się o godzinie szesnastej a kończył w okolicach dwudziestej trzeciej. Życie towarzyskie kwitło jesienią i zimą. Kobiety zbierały się w szkole, bo więcej miejsca, po południu na kursach gotowania i pieczenia, kursach kroju i szycia,

prelekcjach na temat wychowania dzieci. Dla mężczyzn odbywały się wykłady o roli nawozów sztucznych w uprawie zbóż i wiele innych. Z powiatu przyjeżdżali instruktorzy, a starał się o to właśnie pan Franek z żoną.

Jednakże podstawową funkcją biblioteki było propagowanie czytelnictwa. I czytaliśmy. Bo tylko w ten sposób mogliśmy poznawać świat, który dla wiejskich dzieciaków w owym czasie był zamknięty, dostępny tylko poprzez lekturę. Najbardziej zaczytane książki to oczywiście utwory A. Szklarskiego, K. Maja, A. Cz. Centkiewiczów, A. Dumasa, H. Sienkiewicza, J. I. Kraszewskiego, K. Bunscha, J. Przymanowskiego, A. Fiedlera, czyli takie, których akcja toczyła się w innym czasie i innym świecie. A o tym innym świecie, gdzie było mniej obowiązków, a zadania do wykonania to czyny heroiczne, akcje wymagające odwagi i poświęcenia - nie takie zwyczajne: pilnowanie dzieciaków, sprzątanie, pasanie krów, zbieranie ziemniaków, wiązanie snopków, zmiatanie podwórka itd., a które to były naszym dziecięcym światem.

Pan Franek już dawno nie żyje. Z sentymentem wspominam jego królestwo i to, czego nas, wiejskie dzieciaki, uczył. Toteż nigdy nikt z nas nie miał kłopotów z zachowaniem się w takich miejscach, w miejskich szkołach, bibliotekach, domach kultury, chociaż słyszałam wielokrotnie od nauczycieli, że oni wieśniaka wyczują natychmiast, po zachowaniu się w szkole, w bibliotece, przed wejściem do gabinetów. Kiedy podkreślałam, że ja właśnie jestem ze wsi - na obliczu szanownego „psora” pojawiała się konsternacja i niedowierzanie. Myślę, że to zasługa nie tylko domu rodzinnego, ale i właśnie wiejskiego bibliotekarza, nerwusa, ale mądrego, doświadczonego człowieka i jego żony.

W mojej rodzinnej wsi nie ma już biblioteki. W dobie telewizji, samochodów i łatwości zdobycia książek, okazała się zbędna. Tamta biblioteka, to nie tylko była możliwość czytania, ale obcowania z kulturą i tworzenia żywej społeczności, solidarnej i zaprzyjaźnionej, mimo różnych korzeni. Spełniła swoją funkcję. Integrowała mieszkańców. I pomyśleć, że w obecnych czasach zachodzi proces odwrotny - powrót do korzeni, a telewizor w każdym domu skutecznie odizolowuje mieszkańców.

Teresa Nowak, Łupawa

Ps. Przywołany z historii Pan Franek to Franciszek Greinke. Był człowiekiem skromnym, nie lubił się fotografować i wynosić na piedestał. Mieszkał w Starej Dąbrowie. Miał dwójkę dzieci - córka mieszka w Wiedniu, a syn chyba w Słupsku. Pracował w bibliotece w Starej Dąbrowie i to tam miały miejsce moje pierwsze kontakty z książką i literaturą polską. (T.N.)

biblioteka to był cudowny, różnorodny świat

Drogą prowadzącą ze Smołdzina do Kluk co jakiś czas przejeżdżają dziwne furmanki. Mają wysokie drewniane koła z żelaznymi obręczami, dlatego tak turkoczą po bruku, całe są z drewna, wyglądają jak zabawki, do których zaprzęgnięto konie

Ostatni Słowińcy to byli moi bliscy sąsiedzi



Fot. J. Maziejuk

Na wozach siedzą mężczyźni ubrani w ciemne marynarki i kapoty, na głowach mają charakterystyczne granatowe czapki z daszkami, czasem obok siedzą kobiety ubrane w wełniane swetry, okutane w chusty, na nogach mają wełniane skarpety robione na drutach. Spoglądają bojaźliwie, ponuro na boki, nic nie mówią. Na nasze dziecięce pozdrowienia nie odpowiadają wesoło, coś tylko mruczą.

Któż to taki? Rodzice mówili nam, dzieciom, że to są Niemcy, którzy mieszkają za lasem w Klukach nad jeziorem Łebsko. Są to rybacy, którzy łowią ryby, uprawiają małe spłachetki pola, sadząc kartofle i siejąc trochę zboża na własne potrzeby. Czasami przywożą te ryby do naszej wioski Smołdziński Las, żeby je sprzedać po lichej cenie.

Jakie wielkie to były ryby, sandacze mieniły się srebrem, leszcze jak patelnie, szczupaki z ogromnymi paszczami niczym małe krokodyle. I najbardziej dziwne - węgorze budzące strach, ponieważ wiły się ni-

czym węże. Jak mama usmażyła je na patelni - były pyszne.

Mama i tata mówili dobrze po niemiecku, przebywali w niewoli niemieckiej przez pięć lat. Bez żadnych trudności porozumiewali się z rybakami. Schodzili się też do nas sąsiedzi, którzy nie znali języka niemieckiego i rodzice pomagali im się porozumieć. Rybacy niemieccy objęci byli po wojnie specjalnym prawem - zatrudnieni byli w gospodarstwach rybackich, podległych zarządowi Armii Radzieckiej. Złowione ryby przekazywali na zaopatrzenie oddziałów radzieckich. Mimo kontroli, część połowów rybacy z narażeniem życia zostawiali jednak na własne potrzeby lub na sprzedaż. Dlatego m.in. ludność wiejska zamieszkała nad jeziorami była wysiedlona o wiele lat później, ponieważ była potrzebna ówczesnej władzy.

Rybacy z Kluk, kiedy przekonali się, że w naszej wiosce nie było donosicieli, co jakiś czas przywozili nam świeże ryby. Wtedy też nawiązywały się nieśmiało znajomości.

Wiem, że jeden z mężczyzn, który do nas przyjeżdżał, nazywał się Bruno. Nie wyglądał na strasznego Niemca, który strzelał do ludzi. Przeciwnie, był miły, nieśmiało się uśmiechał do nas, polskich dzieci. Zawsze miał coś dla nas, a to małego kotka, a to cukierki. Kiedy już zaczęliśmy uczęszczać do Szkoły Podstawowej w Smołdzińskim Lesie, pierwszą naszą nauczycielką była pani z Kluk, nazywała się Krystyna Wandke. Dojeżdżała do pracy w szkole na rowerze. Wspominam ją bardzo miło.

Organizowane były wycieczki do szkoły w Klukach, abyśmy mogli nawiązać kontakt z tamtejszymi dziećmi. Jechaliśmy furmanką, powoził tata któregoś ucznia, zawsze jechał z nami również nasz nauczyciel. Dzieci z Kluk były trochę inne od nas. Nie mówiły tak dobrze jak my po polsku. Co chwilę wtrącały słowa niemieckie. Były nieśmiałe. Kiedy czasem sami wybraliśmy się rowerami do nich, to zapraszały nas do swoich domów. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zwracały się do swoich rodziców i

dziadków wyłącznie po niemiecku. Dla nas było to bardzo dziwne uczucie. Byliśmy za ledwie kilka kilometrów od domu, a czuliśmy, że jesteśmy daleko, za granicą. Na ścianach wisiały inne obrazy niż w naszych domach, leżały inne książki, bo napisane językiem niemieckim.

Braliśmy czym prędzej nogi za pas i często szybciej wracaliśmy do domu. Po latach zamieszkaliśmy w jednych domach, na jednych klatkach schodowych, w mieszkaniach pegeerowskich. Dawne znajome sobie dzieci zaczęły dorosłe życie. Pracowaliśmy wspólnie na pegeerowskich polach. Byli tacy traktorzyści, jak: Gerard, Klaus, Willi i Antek, Wacek, Stasiek, Janek. W domach zajmowały się dziećmi i pracą Traute, Inga, Henia, Marysia. Nieraz mając kłopot z rozpaleniem ognia pod płytą kuchenną lub w piecu kaflowym, przenosiłyśmy od siebie ogień na szufelce. Pomagałyśmy sobie wzajemnie w pilnowaniu dzieci, czasem jedna drugiej pomagała zdjąć z kuchni ogromny kocioł z gorącą wodą czy z gotującą się bielizną.

W latach siedemdziesiątych Kluki zaczęły się wyludniać. Starsi mieszkańcy już wcześniej opuszczali Polskę, wyjeżdżając na Zachód w ramach akcji łączenia rodzin. Młodzi jeszcze pracowali w Łokciowie, w tutejszym PGR, ale i oni też coraz częściej wspominali o wyjeździe. Kusiło ich tam lepsze i bogatsze życie. Zostawiali swoje stare cmentarze, swoje domy i opuszczali swoją ziemię. Kiedy nadszedł czas, że i nasi sąsiedzi mieli wyjechać, pomagaliśmy im się zorganizować. Znaleźliśmy kupców na meble, pomogliśmy w uboju drobiu i tuczników. Darliśmy wspólnie pierze na nowe pierzyny, wekowaliśmy mięso w słoje, stolarze zrobili obszerne skrzynie, w które pakowali zapasy jedzenia i środki czystości. Popularny w tych czasach proszek do prania „ixi” wiódł prym.

W przeddzień wyjazdu zaproszeni byliśmy na wspólną kolację. Biesiadowaliśmy do rana. Oni jechali do bogatego kraju, my zostawaliśmy na posadach państwowych, dalej ciężko pracując. Zazdrościliśmy im lepszego życia. Do dzisiaj serdecznie wspominam naszych dawnych sąsiadów z rodowodem słowińskim, których historia i losy zrobiły Niemcami. Szczególnie żałuję, gdy dowiadujemy się o czyjejś śmierci, tam daleko. Wiemy, że oni też tęsknią za zapachem jagód z klukowskiego lasu, za tonią jeziora Łębsko.

Byłam niedawno z zespołem „Zgoda” w miasteczku Ratzeburg. Występując podczas mszy niedzielnej w tamtejszym kościele, miałam przyjemność spotkać tam naszych dawnych znajomych, właśnie z Kluk i ze Słupska. Podchodzili sami, pytali o nazwy ulic w Słupsku, które zapamiętali. Widziałam u wielu osób łzy wzruszenia, może jakiegoś żalu?

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło,
Słupsk**

Kiedyś byliśmy dziećmi

Tematem zdjęć Jana Maziejuka są dzieci, jednak wydawnictwo adresowane jest do dojrzałego odbiorcy, umiającego odczytać kontekst społeczny, historyczny i metaforyczny prezentowanych prac

Zdjęcia są obecne wszędzie. Żyjemy w świecie obrazów, ale coraz mniej widzimy w nich sensu. Dlatego tylko mistrzowska fotografia zatrzymuje wzrok, zmusza do refleksji i poszukiwania nowych treści. Staje się manifestem organizującym rzeczywistość.

Fotografia jest szczególnym sposobem opisywania rzeczywistości, a wykadrowany obiektywem obraz staje się zamkniętą w czasie i przestrzeni opowieścią o świecie i zarazem jego interpretacją. „Fotografie bytują w świecie tak, jak bytują inne przedmioty (i podmioty), nie chodzi zatem o mechanizm odtwarzania świata za pośrednictwem fotografii, bo ona sama jest światem albo inaczej rzecz ujmując - elementem go konstytuującym” (Susan Sontag: Fotografia i rzeczywistość). Dla Jana Maziejuka, mistrza fotografii reportażowej, autora zdjęć do albumu „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”, obiektyw aparatu od lat jest uległym narzędziem w tropieniu najbardziej ulotnych chwil dzieciństwa. Bohaterami starannie zredagowanego przez Zbigniewa Babiarsza-Zycha, opatrzonego przyjacielskim wstępem Wiesława Wiśniewskiego albumu fotograficznego są dzieci, wydaje się z sąsiedztwa. Nie zauważają obiektywu, pochłonięte własnymi bardzo frapującymi sprawami. Fotograf jak trzecioosobowy narrator opisuje ich świat, opowiada o pasjach, radościach i dramatach. Zawsze z czułością - dzięki perfekcyjnemu opanowaniu sztuki operowania planem, zmienną kompozycją i przede wszystkim światłem. Światłoczuły zapis fotograficzny jest przecież projekcją wrażliwości autora, jego zaproszeniem do



wspólnej wędrówki w obszar dziecięcych fascynacji. Tematem zdjęć Jana Maziejuka są dzieci, jednak wydawnictwo adresowane jest do dojrzałego odbiorcy, umiającego odczytać kontekst społeczny, historyczny i metaforyczny prezentowanych prac. Album liczy sto trzydzieści dwie strony, ponad połowę zajmują fotografie czarno-białe, ale wyzwolony migawką obraz ożywa uczuciami i barwami w wyobraźni odbiorcy.

Na stronach 6-7 jak na rozkładówce znajdziemy dwie niezwykle fotografie, po lewej stronie dwóch chłopców, po przeciwnej dwie dziewczynki. Chłopcy ujęci w planie amerykańskim z profilu, tuż przy sobie, wypatrują czegoś poza planem. Jeden z nich trzyma w lewej dłoni na wysokości ust lornetkę, jakby przed chwilą odsunął ją od oczu. Drugą wskazuje coś, czego odbiorca nie widzi. Widok w dali ożywia twarze dzie-

ci, przywołuje uśmiech. Na drugim zdjęciu dziewczynki w chusteczkach w podobnym ujęciu w towarzystwie mamy na dalszym planie wpatrują się w jakiś magiczny punkt poza kadrem. Tylko one widzą coś, czego nie zauważa osoba dorosła. Oba zdjęcia skadrowane zgodnie z zasadami sztuki fotograficznej zachęcają do podążenia za dziecięcym spojrzeniem. Podświadomie próbujemy, niczym Alicja, sprawdzić co jest po drugiej stronie lustra. Niedopowiedzenie, tajemnica, ku której prowadzi dziecięcy wzrok jest poetycką siłą fotografii Jana Maziejuka. To także prawda o dziecięcej wrażliwości i ciekawości świata, radości odkrywania, o której zapominamy jako dorośli. Zdjęcia są odbiciem zewnętrznego świata w konkretnym

uśmiechu, fotografia niesie treść metaforyczną, która mogła okazać się społecznie nośna, jeśli uwzględnimy moment czasowy wyznaczony detałem w postaci sweterka zrobionego w modny w tamtym czasie historycznym wzór.

Zdjęcia są obecne wszędzie. Żyjemy w świecie obrazów, ale coraz mniej widzimy w nich sensu. Dlatego tylko mistrzowska fotografia zatrzymuje wzrok, zmusza do refleksji i poszukiwania nowych treści. Staje się manifestem organizującym rzeczywistość. Taki charakter obrazu skupiającego prawdę konkretnego życia, ale otwartego na to co niewypowiedziane, liryczne i ulotne ma fotografia ze strony dwudziestej drugiej. Przedstawia wykadrowane w

wiejskich rodzin, kiedy życie było zwyczajne jak chleb powszedni, który na tych fotografiach pojawia się jako motyw organizujący kompozycję i narrację (str. 52, 69, 70, 71). Obejrzymy w albumie wiele zabawnych i wzruszających zarazem fotografii, gdzie dzieciom towarzyszą zwierzęta, wierni przyjaciele, podopieczni, partnerzy zabaw. Realizm sąsiaduje tu z baśnią, zmieniają się role i wszystko jest możliwe, nawet kot czytający gazetę. Reportażowy charakter fotografii wynika z dokumentarnej i narracyjnej ich wartości o zabarwieniu społecznym. Proste życie zwykłych ludzi staje się dla autora zdjęć punktem wyjścia do refleksji o dziecięcej drodze w dorosłość. Immanentną cechą fotogramów Maziejuka jest pytanie o dalsze losy, o owo otwarcie drzwi do własnej osobowości i do świata, którego każde z tych dzieci musi dokonać. Autor nie pomija bolesnych chwil dziecięcego życia. Obecne są w albumie Jana Maziejuka portrety dzieci zasmuconych, przejętych powierzona zbyt dorosłą rolą, jak dziewczynka pilnująca wózka z dzieckiem z fotografii ze strony 16. Fotograf uchwycił wyraz dziewczęcej twarzyczki ze łzami, które cza- ją się pod powieką. To zdjęcia - opowieści o dziecięcych lękach. Piękne i wzruszające są zdjęcia bez trosk wiejskich chłopców (str. 30 i 40 oraz dalsze), piękne w prostocie przekazu fotograficznego i prawdzie dziecięco-zawadiackiej radości.

Fotografie Jana Maziejuka, pozostając ponadverbalnym przekazem zamkniętej w portrecie treści artystycznej, wpisują się w tradycję dokumentowania losów wiejskich dzieci. Stawiają sportretowanych małych obok literackich Antków, Janków, Tadeuszów oraz malarskich pastuszków Kotsisa, Chełmońskiego, Pruszkowskiego, Lenza czy Fałata. Znajomość realiów życia wiejskich dzieci wynikająca z biografii (Tadeusz Martychewicz) pozwala autorowi na pogłębioną refleksję społeczną. Kilkuletni chłopczyk (s. 30) z ogromnym tornistrem, w kaloszach wędrujący samotnie wiejskimi bezdrożami z pewnością nie jest turystą. Każdy detal fotografii wnosi do opowieści o wiejskim dziecku ważną treść adresowaną do wrażliwego artystycznie i społecznie odbiorcy. Do galerii zdjęć podejmujących stricte literackie motywy należy fotografia ze strony 12., ze sznurem gęsi na pierwszym planie:

*Sznur gęsi, z których każda jak łódka się ślania,
Sunie jak szereg białych znaków zapytania:
Czy dziecko ich pilnuje, czy one je wiodą
(L. Staff, Gęsiarka)*

Specyficzny język fotografii wykorzystujący metaforę, skrót przez oryginalne ujęcie, zaskakującą pointę daje możliwość ekspresji w sprawach wymagających subtelności i powściągliwości. Takimi środkami wyrazu wypowiada się autor albumu „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”. Książka przygotowana we współpracy ze



Fot. M.R. & T.J.

czasie, mają wartość historyczną i społeczną, a dla fotografowanych osób także wartość sentymentalną. Stają się specyficzną relacją z minionym i obecnym czasem. Ponadto pozostając odbiciem zewnętrznego świata, opowiadają o świecie autora, który koncentrując się na temacie głównym, wieloplanowym tłem buduje nastrój fotografii i dopełnia ją kompozycyjnie.

Podobną wartość mają dwie niezwykle fotografie ze strony dziewiętnastej. Pierwsza przedstawia najwyżej półtoraroczne dziecko w pełnym planie odwrócone tyłem do obiektywu. Małec wspina się na palce, by dostać do klamki zamkniętych drzwi. Nie ma pozornie w tym nic szczególnego, jednak wartość anegdotyczna jest znakomita. Istotną cechą fotografii reportażowej jest poszukiwanie decydującego momentu jako miejsca metaforycznego odczytu rzeczywistości. Odbiorca dostrzeże zatem dziecięcą motywację i determinację w pokonywaniu własnych ograniczeń. Wnikliwy odczyta pochwałę wysiłku jako siły sprawczej wszelkich dokonań ludzkości. Otwarcie drzwi to wielka metafora, której nie ma potrzeby interpretować. Drugie zdjęcie przedstawia dziecko w takim samym ujęciu, ale w zbliżeniu. Małe rączki próbują sięgnąć do kontaktu. Trzeba zapalić światło! Poza wzbudzeniem czułego

detal dwie dłonie - matczyną i dziecięcą, z główką dziecka na drugim planie. Dzięki podręcznikowej wręcz kompozycji w oparciu o mocne punkty na przekątnej oraz wykorzystanie zasady kontrastu obraz jest dynamiczny i wyrazisty. Jasne jest też przesłanie, prawda o potrzebie bliskości wyrażonej uchwyceniem choćby jednego matczynego palca. Fotografia tak skadrowana ma też wymiar alegoryczny przez paralelę do fresku z Kaplicy Sykstyńskiej. Natomiast obrączka na kobiecej dłoni staje się symbolem ojca, którego fizycznie na fotografii nie ma, ale niejako zostaje owym znakiem przywołany. Każdy szczegół tej wyjątkowej fotografii jest semantycznie nośny, dotyczy bowiem podstawowego w polskiej tradycji kształtu rodziny.

Obraz dziecięctwa w rodzinie odnajdujemy na wielu fotografiach Jana Maziejuka. Odnajdziemy zdjęcia, które przedstawiają dzieci rodzin miejskiej i wiejskiej, w zabawie, pracy i odpoczynku po wspólnej pracy. To właśnie w rodzinie, szczególnie wielopokoleniowej (strony 43, 49) dzieci uczą się życiowych i społecznych ról, o czym często zapominamy. Wspólna z rodzicami praca uczyła empatii, zacieśniała więzi, dzieci dorastały do rozumienia godności przez rzetelne wykonywanie obowiązków. Wzruszają fotografie z dnia powszedniego

Starostwem Powiatowym w Słupsku dokumentuje w układzie historycznym przemiany rzeczywistości słupskiego regionu zapisane fotografią swego wieloletniego reportażysty. Na stronie 72. autorzy wydawnictwa zamieścili niewielką fotografię wklejoną w inną, większą. Pod plakatem prezentującym słupskich kandydatów Solidarności w wyborach 4 czerwca 1989 roku stoi dziewczynka w białej pierwszokomunijnej sukience i wianuszkach na głowie. Komentarz pod zdjęciem jest pytaniem: Czy Solidarność pamięta co obiecała? Z pewnością dziewczynka spod plakatu jest teraz dojrzałą kobietą. Dorastała razem z Solidarnością, wielkim społecznym ruchem, spełniały się jej marzenia, doświadczała porażek. Dorastaliśmy wszyscy, nie tylko to dziecko, do wolności i obywatelskiej dojrzałości. Nadzieję niesie dziewczynka obok, z podpiętej fotografii, idąca z białą-czerwoną. Jeśli uwierzmy, że wzajemny szacunek i wspólne dobro są wartościami bezwzględnie, dawne obietnice mają szansę realizacji.

Na następnej stronie wchodzimy w nową epokę, kolorowy świat barwnej fotografii. Otwarcie w przyszłość jest ostatnie zdjęcie przedstawiające dziecko przed monitorem, zapatrzone w barwną kreskówkę przywoływaną myszką komputerową. Zmieniają się oferowane przez cywilizację media. Internet jest potężnym narzędziem, prawdziwym otwarciem na świat, ale pozostaje tylko narzędziem kreowanym przez człowieka dla człowieka. Poza tym nic się nie zmieniło. Po prostu pamiętajmy, że kiedyś byliśmy dziećmi, a dzisiejsze dzieci niosą w przyszłość odwieczną tęsknotę za dobrem, miłością i bezpieczeństwem. O tym opowiada piękny, także pod względem edytorskim, album „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”, który autor dedykował żonie Alicji. Wiesław Wiśniewski w zakończeniu słowa wstępnego napisał: „Jeżeli oglądając te zdjęcia, uda nam się na chwilę cofnąć w czasie i przywołać na zasadzie analogii naszą własną, ukrytą w podświadomości dziecięcą krainę czarów, jej niezwykły klimat oraz pełne nadziei widzenie przyszłości, jakie nam wtedy towarzyszyło - to mamy za co być wdzięczni ich autorowi.”

Warto dodać, że wydawnictwo ma nie tylko wartość syntetyzującą dorobek znanego fotografa, ma nie tylko wymiar sentymentalny dla bohaterów zdjęć oraz dla odbiorcy. Album jest ważnym głosem w ciągle obecnej w przestrzeni publicznej dyskusji o problemach dzieci i ich rodzin. Wszak zmieniają się czasy, nie zmieniają się natomiast dziecięce potrzeby marzenia.

Czesława Długoszek, Objazda

„Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”, Agencja Promocyjno-Wydawnicza Unigraf, Bydgoszcz 2010. Publikacja przygotowana we współpracy ze Starostwem Powiatowym w Słupsku.

W paryskim miasteczku

Już kolejny raz miałem zaszczyt i przyjemność reprezentować „Gazetę Mówioną” na siódmym Europejskim Festiwalu „Integracja Ty i ja” w Koszalinie

Tegorocznym motywem przewodnim festiwalu (7-11 września br.) była kultura francuska. W tym celu zbudowano specjalne miasteczko nazwane romantycznie „Małym Paryżem”. Kto tylko chciał mógł zasmakować przysmaków z tej części świata, a w tle dochodziły melodie znad Sekwany. Oczywiście, nie zabrakło stoisk prezentujących dorobek miejscowych organizacji i stowarzyszeń działających na rzecz osób niepełnosprawnych.

Uroczystego otwarcia festiwalu dokonał pełniący obowiązki prezydenta miasta Piotr Jedliński. Po inauguracji nastąpił moment, na który wielu uczestników czekało z niecierpliwością. Po wielu miesiącach nieobecności na scenie, spowodowanej udziałem w wypadku samochodowym, swój mini recital zaśpiewała Monika Kuszyńska - była wokalistka zespołu Varius Manx. Widok pani Moniki wchodzącej, a raczej wjeżdżającej na wózek inwalidzki, wywołał niesamowite poruszenie. Można było usłyszeć stare znane przeboje i kilka utworów premierowych, opatrzonych krótkim bardzo osobistym komentarzem piosenkarki. Nie zabrakło oklasków na stojąco i bisów. Zgromadzeni nie chcieli tak łatwo pożegnać artystki.

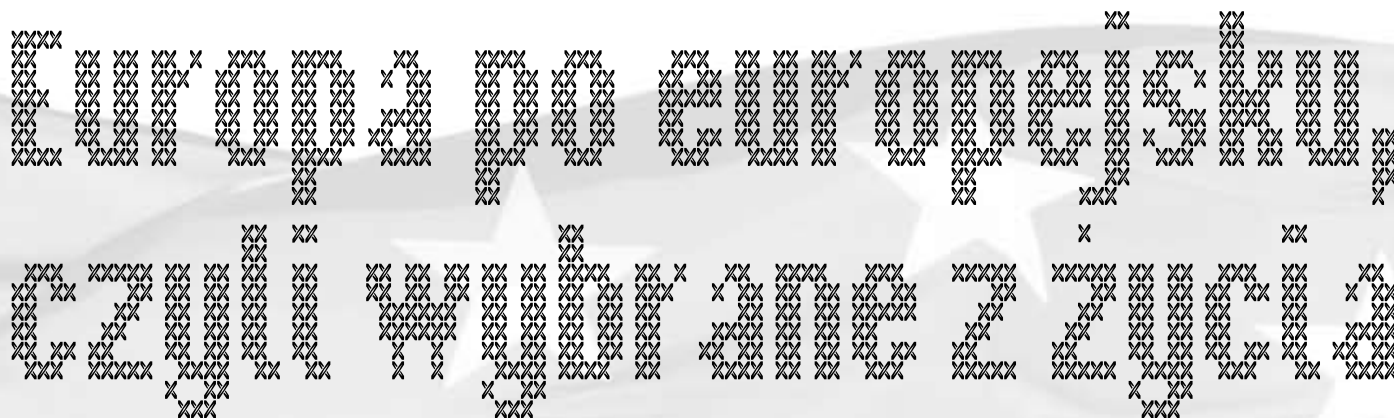
Ukoronowaniem dnia było przyznanie nagrody specjalnej reżyserowi Jackowi Błachutowi, którego film pt. „Nie-normalni” nakręcony ponad dwadzieścia lat temu zapoczątkował dyskusję i zmiany w postrzeganiu osób niepełnosprawnych, zwłaszcza intelektualnie. Kolejne dni to prawdziwa uczta dla miłośników kina. Pokazy konkursowe i pozakonkursowe trwały nieprzerwanie od samego rana do późnych godzin popołudniowych. Na większości projekcji sala dosłownie pękała w szwach.

Mnie osobiście największych emocji dostarczył japoński obraz pt. „Światłość w ciemności”, ukazujący codzienne zmagania nauczyciela akademickiego, pozbawionego zmysłu wzroku i słuchu, współtwórcy tzw. Finger Braila, który pomimo ekstremalnej sytuacji życiowej podjął walkę z przeciwnościami i ją wygrał.

Jednak festiwal to nie tylko filmy, ale również szereg imprez towarzyszących: dyskusje problemowe, pokazy, panele, warsztaty animacji i prezentacje. Z najciekawszych, należy wspomnieć o spotkaniu niepełnosprawnych sportowców z młodzieżą w koszalińskich szkołach i w konferencji w hotelu Grand, podejmującej zagadnienia związane z macierzyństwem i rodzicielstwem osób dotkniętych przez los. Ciekawa była dyskusja o filmie jako sztuce otwartej z udziałem takich znanych osób jak Małgorzata Łazarkiewicz (przewodniczącą jury tegorocznego festiwalu), Teresa Budzisz-Krzyżanowska czy Filippie Loranc.

Zdaniem jury, najlepszym filmem zasługującym na Grand Prix i statuetkę Motyla 2010 był obraz francusko-kongijski pt. „Benda Bilili”, ukazujący historię zespołu z Kinszasy z niepełnosprawnymi artystami. Najlepszym dokumentem okrzyknięto belgijski „Manu na kołkach”. Jest to zapis walki o wejście do najlepszej ligi drużyny piłkarzy poruszających się na wózkach inwalidzkich. Najlepszym dokumentem amatorskim uznano „Coud you change your lifestyle”, którego reżyserami okazali się uczestnicy warsztatów arteterapii. Wśród filmów fabularnych bezkonkurencyjny okazał się hiszpański obraz opowiadający o miłości „Ja też”. Wyróżnienie specjalne przyznano polskiemu filmowi „Mama” w reżyserii Krzysztofa Piotrowskiego.

Jacek Kopyłowski
„Gazeta Mówiona”, Słupsk



Przyjęto się sądzić, że już samo położenie geograficzne państwa pretenduje go do miana kraju europejskiego. I chociaż w Europie jesteśmy od zawsze, to wcale nie jest to jednoznaczne z etymologią nazwy Europa i europejskość

Dzisiaj tak łatwo żongluje się słowami mającymi zwrócić uwagę narodu, że od przeszło sześciu lat jesteśmy w unii. W szczególności odnoszę te słowa do politycznej sfery naszego życia nadmiernie nadużywającej znaczenia bycia europejszym. I uwierz mi czytelniku, że do wielu z tych gadających głów wyświechtane dziś słowo Europa pasuje jak przysłowiowy kwiatek do kożucha. Każda dziedzina naszego życia okraszona jest tymi słowami, a to dotacje..., a to, tak żyje się w..., a to, trzeba myśleć po..., itd. i czego by się przeciętny rodak nie tknął, musi czy mu się to podoba, czy nie, trawić te słowa. A tymczasem słowa te oznaczają coś więcej niżeli to, co usiłują nam włożyć do głowy biegli w mowie i piśmie. Słowa te są synonimem kultury i dobrych obyczajów, które tam są normą życia społecznego, u nas, trafiając na dziewiczy grunt, często obumierają. Prawdą jest, że jak nas widzą, tak o nas piszą, bezpośrednio ten zwrot odnoszę do osobistych obserwacji. Zdarzyło się, że i ja na fali pospolitego ruszenia uczestniczyłem w przedsięwzięciu pt. praca zarobkowa na zachodzie. Gdy po raz pierwszy stanąłem na irlandzkiej ziemi gotów krzewić polskość w rudawym społeczeństwie z bagażem średniej angielszczyzny, poczułem się człowiekiem wolnym, oczyszczonym przez atlantycki wiatr z resztek niedawnego ustroju. To było niczym nie wyjaśnione, ale tak się poczułem, gdy nieznaną stewardesa w samolocie, a potem starszy pan i pulchna „iryska” uśmiechali się i traktowali mnie jakbym był ich dobrym znajomym. Na początku sądziłem, że być może jest to efekt mojej powalającej urody, lecz kiedy dłużej przyglądałem się zjawisku, doszedłem do oczywistego w tym zakresie wniosku, że jest to wynik pokoleniowej kindersztuby. Kto dzisiaj pamięta, co oznaczało

to słowo, chyba tylko jeszcze dinozaury kultywujące tradycje i pamiętające przypowieść o trzech magicznych słowach. Pamiętam minę mojej żony, gdy nieznaną starszą panią pozdrawiała ją z przeciwnego chodnika zwyczajnym HAY, co stanowi skrót od HAU AR YOU, którym na co dzień witają się Irlandczycy. Ponadto przesadna uprzejmość ze strony Irlandczyków towarzyszyła mi stale, przypominam sobie zdarzenie, gdy wracałem o drugiej w nocy z multikina i niejako po drodze wstąpiłem do Tesco (tam w mieście liczącym kilkanaście tysięcy mieszkańców sklep otwarty jest całą dobę), udałem się po chleb na niedzielne śniadanie (nasz chleb, choćby ten najpodlejszy, tam jest rarytasem). Otóż idąc w stronę mieszkania, w pewnym momencie natknąłem się na kilkunastoosobową grupkę „dobrze” bawiącej się młodzieży. Nie było sposobu na ich ominięcie, w Polsce w podobnych okolicznościach doszło by zapewne w najlepszym przypadku do zaczepki słownych. Padło zapytanie, skąd jestem i na moją odpowiedź uśmiech zawitał na twarzach młodzieńców, bądź co bądź nie mogących znać naszej kultury i obyczajów. Przepuszczono mnie ceremonialnie i życząc dobrej nocy próbowano wcisnąć mi w dowód przyjaźni procentowy czteropak, gdy odmówiłem, zdziwienie ich sięgnęło zenitu, gdyż byli głęboko przekonani, że każdy Polak pije. Tak młode umysły, a już wiedzą o nas wszystko, pomyślałem.

Standard życia? Czy w Polsce jest w ogóle jakiś standard poza wegetacją i rozpasaniem nieuczciwie zdobytych majątków, wszelkiej maści afer i przekrętów z drugiej strony? Mój młodszy przyjaciel na stałe mieszkający w Midletown w Irlandii

mówi mi tak: „obserwując polską rzeczywistość, dochodzę do wniosku, że Polska jawi się jako kraj żywcem przeniesiony z głębokiej afrykańskiej prowincji. Podobnie jak tam rządzą w niej klany i kasty, a ten rządzi, kto rano wstaje i głośniejsze pieje. Też tu ludzie przepadają bez wieści, a skorpumpowane aparaty władzy przeciągają śledztwa i zwołują przygłupawą starszyzną plemienną na posiedzenia komisji, których wynik jest dawno znany.”

Tyle mój przyjaciel zakochany w Polsce i z roku na rok dziwiący się coraz bardziej. Pieniądze są ważne, chociaż w omawianym temacie nie najważniejsze, cechą pierwszorzędą jest mentalność i towarzyszące jej siostry: kultura, tradycja i obyczaje. Gdybym miał wyłonić tylko jedną cechę różniącą przeciętnego „irysa”, rzekłbym: wrodzona uczciwość z dopiskiem: odpowiedzialność za słowo. Jak w każdej nacji można przytoczyć szereg przykładów odbiegających od normy, ale pryncypia są zachowane. Szczególnie te przykłady potwierdzają się wśród rodaków tłumnie wyjeżdżających do krajów europejskich, niosących ze sobą niską kulturę osobistą, zupełny brak języka i skłonność do nadużywania alkoholu. Nie dotyczy to wszak wszystkich wyjeżdżających Polaków, których miałem przyjemność poznać i pozostawili po sobie miłe wrażenie, część była młodymi nauczycielami szukającymi swojej drogi życiowej na zielonym skrawku lądu, urzędnikami mającymi najwidoczniej dość bzdurnych przepisów, które krępują decyzję i ogólnie rozumianymi osobami kulturalnymi. (W tym małym miasteczku odpowiednik naszego urzędu skarbowego liczył sobie aż cztery urzędniczki na około dwadzieścia tysięcy mieszkańców, z czego jedną trzecią stanowili Polacy, Ukraińcy i Rosjanie). Za nich na pewno przeciętny Polaku

nie będzie się wstydził! Rzecz w tym, że w tamtym okresie byliśmy największą nacją obcojęzyczną na wyspie i w już unormowane społeczeństwo wnieśliśmy spory chaos.

Po raz kolejny nasza słowiańska dusza dała o sobie znać, nieokiełznanością, rubasznością, plugawym językiem (na szczęście nie zrozumiałem dla tubylców), i głębokim przekonaniem, że to Irlandczycy powinni nosić nas na rękach, gdyż dla nich budujemy wspaniałe osiedla. No cóż, trzeba w tym miejscu powiedzieć sobie jasno, że do pracy na wyspy zjechał znaczny odsetek mężczyzn ze wsi i małych miasteczek z podstawowym wykształceniem, nie czytających, brudnych i hałaśliwych. Żle się stało, że całe to państwo odbiło się szerokim echem w świadomości „irysów”. Współczesny Irlandczyk jest typowym konsumentem podstawowych dóbr, zapatrzonym w USA, kultywującym tradycję i w piątkowy wieczór pijący ginesa.

Trudno się w tym narodzie doszukać przybliżonych cech Polaków. Irlandczycy są osobami łagodnego usposobienia, życzliwymi i pomocnymi. Czego nie można absolutnie powiedzieć o ziomkach osiadłych na zielonej wyspie, a im dłuższy jest okres zasiedlenia, tym oczekiwanie pomocy bądź co bądź rodaka jest prawie niemożliwe. Zacierzwienie z jakim odnoszą się do nowo przybyłych jest wprost niewytłumaczalne, nie znający języka przyjezdni mogą liczyć jedynie na łut szczęścia. A i wśród „tymczasowych autochtonów”, trafiają się osobnicy, którzy po kilkuletnim pobycie wycedzą niepoprawnie senku lub sori.

Nie chcę w tym miejscu być opatrnie zrozumianym i nie potępiam absolutnie exodusu, w którym i ja uczestniczyłem, chcę tylko zaznaczyć, że goszcząc u kogoś powinniśmy jednak pamiętać o podstawowych normach zachowania i mieć wpojoną misję ambasadora polskiego dziedzictwa. W okresie przebywania na wyspie trafiłem na bum budownictwa. Na prawo i lewo powstawały osiedla i domy, lecz w ślad za tym nie rozbudowywano infrastruktury przemysłowej, opierając się w tym względzie na imporcie, doprowadziło to do chwilowej zapaści. Dochodziło do takiego paradoksu, że mój irlandzki szef potrzebne narzędzia budowlane zamawiał drogą lotniczą z USA. Zachłysłnieli się dynamiką wzrostu gospodarczego (tak jak kiedyś u nas za Edwarda Gierka), lecz proszę mi wierzyć ten mały kraj podźwignie się znacznie szybciej z kryzysu aniżeli nasza statystyczna euforia „tygrysa wschodniej europy”. I jak powiedział mi kiedyś ktoś - „bracie kryzys to my mamy od 1945 roku” - i przychodzi mi się zgodzić z tym twierdzeniem.

Czesław B. Kowalczyk
Słupsk

KOMUNIKAT



POWIATOWY INSPEKTOR NADZORU BUDOWLANEGO W POWIECIE SŁUPSKIM

76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14
tel. 59 84 18 549, 59 84 18 551

zwraca się do

WŁAŚCICIELI, ZARZĄDCÓW obiektów budowlanych, położonych na terenie Powiatu Słupskiego o przestrzeganie obowiązków wynikających z ustawy Prawo Budowlane z 1994 roku i podjęcie następujących działań w okresie zimowym 2010/2011:

- w obiektach podwyższonego ryzyka ze względu na możliwość przebywania znacznej ilości osób, o dużych rozpiętościach przekryć dachowych oraz o powierzchni dachu przekraczającej 1.000 m² do przeprowadzenia kontroli stanu technicznego konstrukcji przekryć, drożności i stanu technicznego dróg ewakuacyjnych,
- obowiązku systematycznego usuwania nadmiaru śniegu i lodu z dachów obiektów, w celu zapobiegnięcia potencjalnemu niebezpieczeństwu,
- w budynkach użytkowanych i nie remontowanych od wielu lat do przeprowadzenia kontroli, instalacji systemów wentylacji grawitacyjnej, odprowadzenia produktów spalania oraz instalacji gazowej i elektrycznej, w celu zapobiegania niewłaściwemu użytkowaniu instalacji i urządzeń ogrzewczych które może doprowadzić do wypadków zazadania tlenkiem węgla.

Należy przy tym pamiętać, że niewłaściwe wykonywanie prac związanych z usuwaniem śniegu z dachu może stwarzać ogromne zagrożenie zarówno dla samego budynku, jak i osób wykonujących te prace. Dlatego muszą być one prowadzone z zachowaniem zasad bezpieczeństwa i przepisów BHP.

Przypominam jednocześnie, że niewłaściwe utrzymanie i użytkowanie obiektu budowlanego oraz nie zapewnienie bezpieczeństwa użytkownika obiektu budowlanego zagrożone jest grzywną nie mniejsza niż 100 stawek dziennych, kara ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku (zgodnie z art. 91a ustawy - Prawo budowlane).

W związku z powyższym, w celu uniknięcia zagrożeń, zwracam się do wszystkich zobowiązanych o bezzwłoczne spełnienie obowiązków wynikających z ww. przepisów.

Podstawa prawna: art. 61 pkt 2 ustawy z dnia 7 lipca 1994 r. Prawo budowlane (tekst jednolity: Dziennik Ustaw z 2006 roku Nr 156, poz. 1118 z późn. zm.) i ustawa z dnia 10 maja 2007 roku o zmianie ustawy prawo budowlane oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. Nr 99, poz. 665)

Pod żaglami (nie tylko) Zawiszy...

*Jachty żaglowe dzielą się na regatowe,
turystyczno-regatowe, turystyczne
i przeznaczone do szkoleń*



Fot. J. Maziejuk

Tytułem wstępu - kilka znaczących, jak sądzę, zapisków z literatury fachowej (Jerzy Dziewulski, „Wiadomości o jachtach żaglowych”; nadto Mariusz Zaruski, „Współczesna żegluga morska”; Ludwik Szwykowski, „Żeglarz śródlądowy”, Antoni Heinrich, „Budowa kajaków”, pr. zbior. „Żeglarz”, Jan Kuczyński, „Jachtowa żegluga morska”). Cytuję:

...Żeglarskie ABC, niegdyś zupełnie obce przeciętnemu Polakowi, staje się w ciągu ostatnich dziesiątków lat coraz bardziej zrozumiałe i bliskie jego wyobraźni. Samo żeglarstwo okazało się bowiem ukrytą przez wiele stuleci, ale bliską polskiej naturze pasją życiową. Tak znane cechy tej natury, jak odwaga, upór, romantyzm, rycerskość, którą w naszych czasach zwie się prozaicznie „skłonnością do udzielania innym pomocy”, pozwoliły nam przetrwać

niejedną burzę dziejową, dla prawdziwego żeglarza zaś jawią się jako podstawowe cechy charakteru, bez których trudno wyobrazić sobie pomyślną realizację jakiegokolwiek poważniejszej wyprawy żeglarskiej...

...Dzisiaj już przeciętnemu Polakowi bliższe jest niż niegdyś brzmienie morskich słów: stępka, mocnica, zrębica, dziobnica, tylnica, zestaw trzonowy, gródź... Więcej - zapoznanie się z tajnikami konstrukcji łodzi zaczyna być rodzajem pomostu między tym potencjalnym, nie ujawnionym żeglarzem a jego marzeniami: obrazami bezkresnych horyzontów, nieokiełzanych sztormów oraz dalekich, nieznanymi lądów i ludzi. Tęsknota do tych obrazów i przeżyć zamienia się w sedno i siłę motoryczną działań każdego prawdziwego żeglarza. Zwiększa się systematycznie liczba młodych (i starszych) Polaków tęsknotę tę odczuwających...

...Smat historii. Gdyby ująć ją w encyklopedycznym lub - jak kto woli - hasłowym skrócie: Tak działa się i nadal dzieje tam (u nas!), gdzie żeglarstwo jako sport wyłoniło się ze znacznie wcześniejszych form działalności handlowej i politycznej (sic), prowadzonej przez narody od wieków z morzem związane...

Na koniec inne zaczerpnięte ze wspomnianych książek ciekawostki, które bezpośrednio wiążą się z meritum niniejszej publikacji.

Według kryteriów eksploatacyjnych jachty żaglowe dzielą się na regatowe, turystyczno-regatowe, turystyczne i przeznaczone do szkoleń. Uwaga: Do jachtów turystycznych zalicza się również „zdeklarowane” jachty regatowe i turystyczno-regatowe zbudowane w swoim czasie w myśl poniekąd już dawno (z reguły bardzo dawno) przepisów i formuł.

Przywołane wyżej jednostki pływające nawet hobbistom, mało: fachowcom, niełatwo odróżnić od siebie. Wystarczy powiedzieć, że tylko szczególnie rozpowszechnione w Polsce jachty i łodzie żaglowe obejmują aż 273 (tak, tak!) klasy. Skwitowałby to starożytny Rzymianin znanym po dziś dzień porzekadłem (sentencją): Qui capere potest, capiat (Kto może zrozumieć...). Á propos „kluczowych” w niniejszym artykule jachtów. Klasą rodzimego turystycznego żaglowca śródlądowego jest „mieczowiec” OMEGA. Jego główne wyznaczniki: kadłub okrągłodenny 6,2 m długości, ożaglowanie typu słup (niski albo wysoki trójkąt przedni; dop. JRL) o powierzchni 15 m²; oznacz. grecką literą omega na żaglu; 2-6 osób załogi; monotyp w ramach ograniczonej klasy H (Hatka), skonstruowanej w roku 1942 i pilotowanej wtedy (!) z biegiem Wisły przez warszawiaka, inż. Józefa Sieradzkiego. Cyt. konotacje w Encyklopedii Powszechnej PWN.

To miało być „wprowadzenie w temat”. Stop! Czas przejść ad rem.

U progu jesieni odbyły się zamykające tegoroczny sezon sportów wodnych, 44. Regaty Żeglarskie o Puchar Jeziora Gardno. Grand Prix w tradycyjnej klasie omega zdobył (nie po raz pierwszy, notabene) szef RO PTTK Janusz Grabowski. Tuż za nim uplasowali się piloci sześciu „konkurencyjnych” jachtów: Maciej Kopec z Łosina (gm. Kobylnica), Rafał Kosiek z Gardny Wielkiej (gm. Smołdzino), współpracujący od lat ze słupszczanami Christoffer Kessel z Hamburga (RFN), Robert Pacocha i Andrzej Chomicz ze Słupska oraz Maciej Szyca z Kobylnicy.

Wielokilometrowe zmagania jako żywo pasowały do atmosfery „spod żagli Zawiszy”. Chmurne, wietrzne i dojmującym chłodem przesiąknięte godziny upływały - nomen omen - niepostrzeżenie...

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Od złota do złotej świni

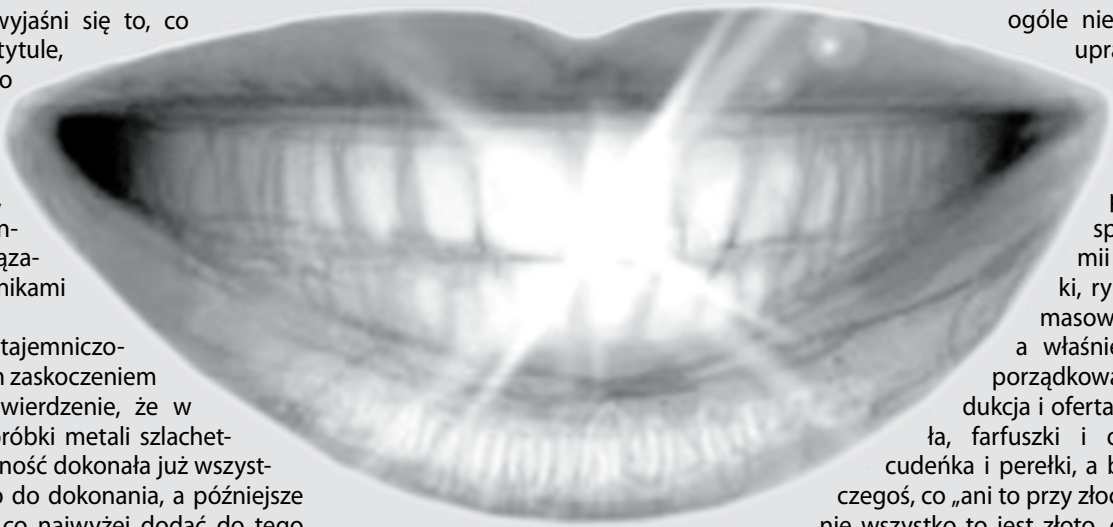
Złoto, srebro, platyna, kamienie szlachetne zawsze imponowały małuczkim. W czasach nowożytnych i obecnie wyroby, zwłaszcza biżuteryjne już nie są domeną panujących, już nie król i jego świta olśniewa przepychem ozdób stroju i wystroju kapiących od złota. Dziś najwyższa klasa walorów zwana towarem ekskluzywnym jest, ogólnie mówiąc, dostępna dla każdego

Zanim wyjaśni się to, co ukryłem w tytule, prześcę do tekstu nieco inżynierskiej wiedzy, bez paniki jednak, jedynie parę informacji związanych z technikami złotniczymi.

Dla niewtajemniczonych pewnym zaskoczeniem może być stwierdzenie, że w dziedzinie obróbki metali szlachetnych starożytność dokonała już wszystkiego co było do dokonania, a późniejsze czasy mogły co najwyżej dodać do tego pewne udogodnienia techniczne, skracające nieco lub znacznie drogę do celu.

Starożytność pozostawiła ludzkości w spadku wspaniałe dowody swych osiągnięć artystycznych: sprzęty kultowe, znaki chrześcijańskie i mojąszowego, świeczniki i lampy, sprzęty domowe, biżuterię i ozdoby stroju, insygnia władzy i funkcji, tzw. varia (rozmaitości jak broń, pochwy, numizmaty, odznaki, pieczęci, siodła i rżąd koński, zegary i in.). Złotnictwo okresu średniowiecza, renesansu czy baroku przyniosło nowe formy artystyczne, a wiek XIX i XX dodał do tego maszyny i technologie umożliwiające produkcję masową.

Oprócz zachowanych dzieł złotnictwa antycznego dziś już muzealnych zgromadzonych w muzeach lub prywatnych kolekcjach, w archiwach znaleźć można przekazy źródłowe, z których najbardziej interesujący jest np. traktat Theofrasta „O kamieniach” z I połowy III w. p.n.e., sławna „Historia naturalna” Pliniusza Starszego napisana równo ponad 1900 lat temu i mało znane papirusy tebańskie z przełomu III i IV w. n.e. Papirusy te odnalezione w grobowcu w 1828 roku w swej części dotyczącej złotnictwa nie są niczym innym jak tajnym receptularzem fałszerzy kamieni i metali szlachetnych.



Zachowane do naszych czasów okazy złotnictwa antycznego, a ocalał ich małe procent - potwierdzają wysoką ocenę umiejętności ich twórców: wspaniałe formy, niemal wszystkie techniki złotnicze i to w mistrzowskim wydaniu. Szczyty klasycznego rzemiosła złotniczego osiągnięte w starożytności próbowali już tylko powtórzyć wielcy nowożytni, powielali ich artystyczny sukces.

Złotniczy temat jest interesujący zwłaszcza dziś, kiedy w dobie kryzysu walutowego popularne jest nabywanie kruszcu: sztabek złota, biżuterii, traktowanych jako lokata kapitału. Dyskusyjny to manewr zakupowy, ale w grę wchodzi kapitał własny i wolna wola właściciela.

Złoto, srebro, platyna, kamienie szlachetne zawsze imponowały małuczkim. W czasach nowożytnych i obecnie wyroby, zwłaszcza biżuteryjne już nie są domeną panujących, już nie król i jego świta olśniewa przepychem ozdób stroju i wystroju kapiących od złota. Dziś najwyższa klasa walorów zwana towarem ekskluzywnym jest, ogólnie mówiąc, dostępna dla każdego.

Nie jest to tylko zasługa tego, że daleko odeszliśmy od naszych praprzodków na polu techniki i technologii, których w starożytności i kolejnych wiekach albo w

ogóle nie znano, albo uprawiano je na nader niskim poziomie. To sprawa ekonomii i ekonomii, rynku, towaru i masowego klienta, a właśnie jemu podporządkowana jest produkcja i oferta nie arcydzieła, farfuszki i ozdobniczego cudenka i perełki, a bardzo często czegoś, co „ani to przy złocie nie leżało”, „nie wszystko to jest złoto, co wzrok błądziem ludzi... co się świeci”. Choć wiadomo, że „nie złoto szczęście czyni” materiały szlachetne były, są i będą imponowały, zawsze są w modzie, również to, co technika wytwórcza wymyśliła - materiały imitujące, zastępcze, erzac.

Przykładem jest znany w terminologii złotniczej tombak, barwą przypominający złoto (a to tylko dwuskładnikowy mosiądz z 72 proc. miedzi i resztą cynku) często był używany do platerowania. Platerowanie, czyli pokrywanie blachy miedzianej warstwą srebra wynalazł angielski kotlarz w 1743 roku. Niebawem rozbudował wytwórnię i produkował wyroby zewnętrznie nie różniące się od wyrobów srebrnych, ale o wiele tańszych: guzików, puzderek, a w końcu całych zastaw stołowych. „Złoty interes” platerów angielskich przypadł na lata 1770 - 1800. W Polsce plater obustronnie srebrzone pojawiły się w 1824 roku w Warszawie, produkowane przez Józefa Frageta.

Technika platerowania, czyli pokrywania miedzi warstwą srebra w postaci folii wprasowywanej na zewnątrz na gorąco (wewnątrz była cyna) znikła dosyć szybko po powszechnym wprowadzeniu srebrzenia galwanicznego. Ten proces był nie tylko łatwiejszy, ale umożliwiał pokrywanie

przedmiotów znacznie cieńszą warstewką srebra, co z kolei obniżało zasadniczo cenę wyrobów. Jak to zwykle bywa przy obniżeniu jakości, ale także sprzyjającą pojawianiu się wielu warsztatów galwanicznych w różnych krajach i konkurencję.

Historyczne od 1743 roku relacje między wynalazcą, producentem i rynkiem w pryncypiach nie różnią się od dzisiejszych realiów rynkowych: dużego popytu i jeszcze większej oferty podaźowej w miejsce jednostkowości i masowości, kosztów produkcji i ceny, jakościowej klasy i bezklasowej tandety, etc.

A klient kupuje, kupuje, tak jak moi koledzy stoczniovcy, zresztą ja też, tombakowe pierścienie na Santa Catalina w Las Palmas u ulicznego handlarza. Tombakowy sygnet błyskiem złota przyciągający wzrok o cenie równowartości, po targach, aż puszki cervesy, czyli piwa, a jaka pamiątka z „Kanałów”. Tu warto usprawiedliwić czasy nowożytnie, bo i one mają swoje znaczne osiągnięcia w technikach towarzyszących klasycznemu złotnictwu. To są emalie w mnogich odmianach oraz szlifowanie i oprawa kamieni szlachetnych. Tych technik starożytność w ogóle nie znała lub praktykowała je prymitywnie.

Słynne są tu tzw. dublety, wynik praktyk oszukańczych, czyli szlifowanie małych kryształków, tańszych, nawet szkła, sklejanie ich, kolorowanie i składane w klasyczny ostrosłup. Falszowanie kamieni najrozmaitszymi sposobami ma ogromną tradycję, a wyżej wspomniane papirusy „tebańskie” wymieniają dziesiątki tego typu recept. Nigdy nie szlifowano pereł, a właśnie okresowe mody szczególnie ceniły wyroby z perłami.

Pliniusz pisał, że są najcenniejsze na świecie: kolczyki z dwóch pereł Kleopatry, które dostała od Królów Wschodu, były cenione na 10 mln sestercji (ok. 10 ton srebra), a małżonka Kaliguli nosiła biżuterię z pereł i szmaragdów wartą 40 mln sestercji - spadek po Marku Loliuszu - dowódcy wojsk rzymskich w Germanii. Tenże, łupił prowincje i brał łapówki przez co stracił dobre imię i przyjaźń cesarza, a na koniec popełnił samobójstwo. Pliniusz konkludował: „...na taki koniec przychodzi tym, co rabują, a wszystko po to, by jego wnuczka błyszczała przy stole biesiadnym pokryta 40 mln sestercji...”

Kontynuowanie kruszcowego tematu jest kuszące, bo przecież „złoto jest bożek, któremu się wszyscy kłaniają”, „kto ma złoto, ma prawo po sobie”, „nie masz nic tak

mocnego, czego by złoto nie zwojowało”, „szwajca potrafi, że niewinny zginie, a uwolni się winowajca”.

Jak to było z Markiem Loliuszem same rzymskie Bogi dokładnie wiedzą. „Co nieborak napisał złotem, to zamazał błotem”, „siedział w złocie jak w błocie”, „osiół złotem obładowany ujdzie między pany”, „świnie złote pachną jak róże” - jak się okazało do czasu i wbrew temu, że „lepszy funt złota niż rozum cetnar”, „złotymi włóczęgami wnet zwyciężysz”, „klucz ze srebra lub złota otwiera furtki, drzwi i wrota”. M. Loliusz skończył źle, pohańbiony.

Któż jednak zważa na to jak przewrotne są losy ludzkie, kto zna lub pamięta, jak przysłówia zmyślnie otaczają siecią człowiecze ułomności, jeśli „czciciele złotego cielca idą szukać złotych cielców, przed nim się korzą”, „złotem nikt nie wzgardzi”, a „wszyscy przed nim czapkują, gdy w kieszeni złoto czują”, „złotym szydłem leda szewc dokoła”, „jak nie ma złota, w nogi hołota.”

Ponieważ w zagrodzie nie mam sejfu, a w nim złota, kończę śmiało wbrew temu, że „złoto, którzy mają zawsze śmielszy bywają, a bez luzu i polotu, iż „złoto to orator najwymowniejszy”.

Czesław Guit, Lubuń

Niech powstanie album

Miejska Biblioteka Publiczna oraz starostwo słupskie zwracają się do mieszkańców powiatu o nadsyłanie zdjęć chłopów pomorskich

Fotografie zgromadzone w albumach rodzinnych stanowią niezwykle istotne źródło historyczne, które po analizie tworzy swoisty wizerunek wsi pomorskiej. To ludzie tworzą historię, realizują swoje zamierzenia, wpajają wartości dla przyszłych pokoleń. Pozwólmy, aby postacie z rodzinnych fotografii zaistniały. Stwórzmy historyczny portret wsi pomorskiej zbudowany z jej własnych dokumentów.

Wiele rodzinnych fotografii naszych przodków powstało albo na życzenie czy zamówienie, albo wykonywane były przez amatorów. Obiektem zdjęć jest z reguły człowiek, czasem jego najbliższe otoczenie, a więc rodzina na tle zabudowań, z rzadka zaś krajobraz. Podstawą społeczności wiejskiej była rodzina. Znalazło to odbicie w fotografii.

Rodzinne fotografie przedstawiają ciągłość trwania i odmienną sposobów bycia na przestrzeni wielu lat. Najistotniejsze są te najstarsze (sprzed 1945 roku oraz 1945-50, 60., 70., 80.), pożółkłe, schowane w najgłębszych domowych archiwach, niedostępne dla oka ludzkiego, bezimienne. Te fotografie przedstawiają historię, o któ-

rej zapominamy w pogoni życia codziennego. Nasza kultura zapisana w fotografii zasługuje na to, by ją pokazać innym, możemy być z niej dumni. Naszym obowiązkiem jest udostępnienie tychże dokumentów, odszyfrowanie nazwisk, pokazanie światu kolekcji przedstawiającej historię. Pomorze jest wielokulturowym regionem, dlatego też nasz wspólny zbiór będzie swoistą kolekcją o walorach etnograficznych, historycznych i socjologicznych. Poznana historia naszych bliskich stanowi dla nas wsparcie w trudnych sytuacjach życia codziennego, dodaje nam pewności i otuchy. Najstarsza, a przy tym najciekawsza rodzinna kolekcja zostanie nagrodzona.

Zgromadzony materiał ikonograficzny zostanie zdigitalizowany i wnikliwie opracowany na podstawie materiału epistolarnego nadawcy dokumentu. Z tego też względu prosimy o wnikliwy opis każdej nadesłanej fotografii: nazwisko i imię postaci, skąd przybyła na Pomorze, ewentualnie jaką pełniła rolę społeczną w danej wsi, przybliżony rok wykonania zdjęcia, kontekst, miejsce w której zdjęcie zostało wykonane, ewentualnie opis otoczenia stanowiącego tło fotografii, nazwisko i imię nadawcy do-

kumentu oraz jego koneksje rodzinne, z jakiej miejscowości fotografię nadesłano. Główną rolę gra postać, niemniej jednak ubiór i otoczenie jest istotne.

Skoro istnieje chłopskie malarstwo, poezja, rzeźba - istnieje również chłopiska fotografia. I takich dokumentów oczekujemy od Państwa. Nasi pradziadkowie fotografowali się w jakimś celu, fotograf dostał pozwolenie na uwiecznienie chwili, uchwycił gest, spojrzenie, wyraz twarzy. Fotografia była swoistym elementem komunikacji, na której odmienną gestu, usytuowania postaci i wyrazu twarzy wywodzi się z tradycji, obyczaju oraz warunków cywilizacyjnych. Od nas zależy dalszy los tych fotografii. Rodzinny dokument stanowi swoisty kod informacyjny. Pozwólmy na odcodowanie zawartych w nim treści. Naszym celem jest, aby rodzina, portret rodzinny stanowił ośnowę całego wielkiego „rodzinnego albumu chłopów pomorskich”, osadzonego w czasie i przestrzeni. Album zostanie wydany w formie książkowej i zaprezentowany na stronie Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej. Fotografie zostaną zwrócone nadawcy.

Danuta Sroka

Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku

SŁUPSKI KOLEKCJONER



DODATEK SPECJALNY DO „POWIATU SŁUPSKIEGO” NR 2(3)/2010

Kolekcjoner sztuki użytkowej

Prawdziwie smakować życie

Dał Bóg jednym rozum, innym siłę fizyczną, a jeszcze innym – przemożną chęć odczuwania i emocjonalnego pojmowania otaczającego nas świata. Nie widzę w tym podziale ani lepszych, ani gorszych. Po prostu, wszyscy jesteśmy inni, choć wszyscy czujemy się wyróżnieni. Z ostrożną pokorą mniemam, że zaliczam się do tej trzeciej grupy.

Obdarowany przez Stwórcę – trudnym do zdefiniowania – jakimś stopniem tzw. inteligencji emocjonalnej, zdeterminowany byłem dokonywać wyborów nie zawsze logicznych i pragmatycznych, jednak w mojej mentalności wręcz – jedynych. Wprowadziłem swój własny porządek. Poszukując od dzieciństwa swojego raju (który zawsze kojarzył mi się z wolnością), także recepty na szczęście – próbowałem osiągnąć je wzorując się na estetycznych i artystycznych autorytetach. Zachwycałem się więc nie tyle tym światem, co ludźmi z mienionych lat i epok, którzy poprzez swe prace – arcydzieła, pozostawili po sobie tzw. dobrą pamięć, także wyzwanie i prowokację artystyczną, żeby odważyć się im dorównać, przynajmniej – okazać zachwyt. Młodzieńcza ambicja nakazywała mi podejmować „rzucaną rękawicę”, i choć prognoza przegranej była mi zawsze wiadoma – decydowało zauroczenie i chęć „równania w górę”. Moje estetyczno-artystyczne wysiłki (do dziś, choć sporadycznie podejmowane) najlepiej oddaje przypadkowo odkryta sentencja, przeczytana na produktach jednej z rodzinnych firm o światowej renomie: „Jedynie ci, którzy cenią najwyższą jakość, mogą prawdziwie smakować życie”. Pomimo nieprzewidywalności ludzkiego losu – zawsze do tego dążyłem. Być może się nie udało, ale lepiej być byle kim, niż być – nikim. Nawet ta interpretacja mnie satysfakcjonuje, bo pozostaje autentyczny, nie – nijaki!

Moje jednoznaczne zainteresowania wszelkimi objawami szeroko pojętej sztuki są pewnie podświadomą ucieczką od mierzoty dnia codziennego, widocznej obojętności w sferze emocji. Nie godziłem się też być „rzeczą” manipulowaną, regulowaną z zewnątrz. (Nawet prawo do walki o byt i przetrwanie – stało się mniej istotne). Niegodzenie się na takie życie zakłócało mój wewnętrzny spokój, a dysharmonia pomiędzy wszechobecnym powielaniem codzien-

nego życia a literackim, czy poetyckim ich wyobrażeniem – odbierała mi świadomość duchowej niezależności i autonomii.

Otoczając się w swoim domu (pomijając muzykę) przedmiotami o walorach artystycznych, nadałem im nową, bo emocjonalną tożsamość. Są częścią mnie i to bez względu na ich wartość handlową. Widząc ich artystyczne piękno – siebie też postrzegam ładniej i godniej. Przede wszystkim – i mimo wszystko – spokojniej. Dzięki tym zabiegom – tak sądzę – zachowałem właściwy dystans i równowagę emocjonalną, bo *Tracisz pieniądze – nie tracisz!* *Tracisz zdrowie – coś tracisz!* *Tracisz spokój – wszystko tracisz!*

Chociaż pieniądze i rozum przychodzą za późno, jestem dziś szczęśliwy, bo uzyskałem wystarczającą mi świadomość, że życie ma i może mieć jakiś sens, jeżeli potrafimy zauważyć piękno w drugim człowieku, a więc – i w nas samych. Nic nowego nie wymyśliłem, zważywszy że już myśliciel starożytnej Grecji – Demokryt głosił: „Nie zalety ciała i majątek dają szczęście, lecz prawda charakteru i zalety umysłu”. Tak więc nie ten zasługuje na litość, któremu sen młodzieńczy nie spełnił się do końca, ale ten, który będąc jeszcze młodzieńcem

– nie miał szlachetnych marzeń, uczuć i ambicji. A, że nie dla wszystkich jest wszystko, to już inny problem.

Pośród wielu młodzieńczych zainteresowań, część z nich przeniósłem na swoje dorosłe życie. Pracując z żoną w szkole i mieszkając na wsi, ograniczyłem swój kon-



Fot. J. Maziejuk

takt ze sztuką do możliwości na „moją kieszeń”. Zająłem się (w latach 70-tych) m.in. kolekcjonowaniem tzw. sztuki użytkowej o silnych walorach artystycznych: dawne instrumenty, meble, stare monety, figurki, białą broń, książki, tzw. białe kruki. Przede wszystkim – dawne zegarki i zegary: kie-

szonkowe, kominkowe, ściennie, podłogowe itp. Już piękno ich wskazówek („a jour”) zaintrygowało mnie do tego stopnia, że zacząłem rozmyślać nad upływającym czasem.



Fot. J. Maziejuk

Zaczął się skromnie od piękna wskazówek, potem poznawałem techniczne rozwiązania mechanizmów, później przeszła kolej na historię czasomierzy, jeszcze później – zachwylił mnie różnorodny (zawsze artystyczny) kształt obudowy. Dziś pozostał mi tylko jeden problem: zdefiniowania czasu w życiu człowieka. Przez lata rozważałem jego względność, także z psychicznego i technicznego punktu widzenia, bo w istocie pojęcie czasu jest zagadnieniem filozoficznym.

Obserwowany przez nas „czas” nie ma przedmiotu i nie jest ani widoczny, ani słyszalny, ani też poznawalny innymi ludzkimi zmysłami. Jest tylko sposobem istnienia. Dlatego też dawne czasomierze były tak urządzone, ażeby swoimi wskazówkami lub dźwiękami przypominały i uzmysławiały nam przemijanie tego czasu. Mierzymy czas, nie dbając o to, czym on jest: czy przepływa obok nas, czy z nami, czy życie nasze przebiega w czasie, czy też czas jest tylko naszym sposobem ujmowania życia.

Przed wiekami, największy zasób określeń czasu wypracowała sobie tradycja ludowa na oznaczenie pory dnia, a następnie nocy. W ogólnym podziale wyglądało to następująco: przedednie, świtanie, wschód słońca, pora śniadanna, przedpołudnie, bydłożenie, zachód słońca, po zachodzie, o zmroku, wieczór, po wieczery. Dla nocy zaś: północ i noc głęboka albo głucha. Przy okazji jako ciekawostkę podam, że czas wypasu bydła pastuszkowie określali długością cienia zwierząt. Kiedy cień krowy miał długość 3-4

metry, to można było wracać i zapędzać je do zagród gospodarzy.

Najbardziej znanym zegarem ludowym był oczywiście kogut, pierwotnie kurem zwanym. Pierwszymi kurami nazywano północ, drugi raz kur piał na przedednie, a trzeci na świt. Tyle ciekawostek i tematycznych przemyśleń.

Mieszkając już w Słupsku, ograniczyłem swoje sentymentalne pamiątki do możliwości posiadanej metrażu. Pozostawiłem te przedmioty, z którymi jestem emocjonalnie związany. Kojarzą mi się bowiem z młodością, chęcią ich pozyskania (często za pożyczone pieniądze). Tym bardziej są mi drogie. Dziś pozostały mi trzy zegary, kilka obrazów, meble i instrumenty. Wszystko z bujnym ornamentem, pięknem i osobliwym „życiorysem”.

Jak już wspomniałem, życie moje zeterminowane było osobowościami wyjątkowymi artystycznie. Szczęśliwy traf sprawił, że w wieku dwunastu lat poznałem śp. Czesława Juliusza Wydrzyckiego (ur. 16.02.1939 r. – zm. 17.01.2004 r.). Wspomnienie to ożyło kolejny raz, kiedy niedawno utrwalone na ścianie budynku w Białogardzie imponujący wizerunek Czesława Niemena jako dowód jego związków z tym miastem (także mojego dorastania). Tylko nieliczni (oprócz mnie) pamiętają, że zaledwie kilkanaście metrów obok istniał mały domek, w którym mieszkał. (Z kim, to już moja tajemnica). Żywa pamięć, że kilkakrotnie bywałem w tym domku – a więc u Czesława, także On w moim – z każdym rokiem potęguję moją dumę, odbieraną też jako zaszczyt nie każdemu należny.

Wyjątkowa ta znajomość zaczęła się jednak wcześniej. Zaproszeni zostaliśmy kiedyś z bratem na „muzyczne podwieczorki” do p. Gadzińskich – ówczesnych farmaceutów, których syn uczył się z nami w PSM w Koszalinie. (Był od nas dwa lata starszy. Imponował nam muzycznymi zdolnościami i „niekonwencjonalnym” zachowaniem).

Zjawiliśmy się choć zmęczeni, bo z akordeonem na plecach i skrzypcami. Tam też zastaliśmy enigmatycznego, młodego gentlemana o arystokratycznej mentalności i pobłażliwym, zagadkowym uśmiechu. Był

studentem PWSM w Gdańsku i grał na fagocie. Białe szalik i także rękawiczki leżące obok, jeszcze bardziej podkreślały jego egzotyczny wygląd, tym bardziej że w tamtych szarych czasach każdy troskał się o to, w co się ubrać, a nie – jak!

Wróćmy do wspólnego muzykowania! Po kilku nieudanych próbach nawiązania muzycznego kontaktu, skończyło się na kulinarnym poczęstunku. Jednak i ten kontakt się nie powiódł, bo nie byłem w stanie nic przełknąć. Ta nieudana konfrontacja (pod względem warsztatu muzycznego) na całe lata wywołała we mnie lęk, zażenowanie i wstyd, że można było lepiej i, że można lepiej. „Nudziło się osiołkowi i postanowił załatać na łodzi” – chciałoby się dziś powiedzieć. Pomimo to, spotkanie skończyło się dobrze. Polubił nas, pewnie za wybujałe ambicje. Zdeklarował się też nastroić moje pianino. Podał swój adres. Okazało się, że mieszkaliśmy „przez miedzę”.

Pamiętam doskonale, kiedy w trakcie strojenia zaśpiewał kilka utworów (m.in. „Malagienę”), dając próbkę swoich wokalnych predyspozycji. Jego „jodłowanie” oczarowało nas wszystkich. Zahiptnotyzowani jego muzykalnością słuchaliśmy w kuchni, nie śmiąc nawet wejść do zaczarowanego muzyką pokoju. Od tamtej chwili postać ta jest wszechobecna w moim życiu i życiu całej rodziny. I tak już zostanie!

Pianino, które stroił kilkakrotnie Czesław Wydrzycki, towarzyszy mi do dziś. Oprócz wartości sentymentalnej, wyróżnia się także jakością artystyczną. Klawiaturę pokrywa kość słoniowa. Artystyczne świeczniki zaświadczać o sędziwym pochodzeniu. Widnieje też kilkadziesiąt miejscowości i dat, gdzie marka ta (Ed. Zeiler) zdobywała wyróżnienia i nagrody. Wymieniam chronologicznie kilka pierwszych i ostatnią: AUSZEICHNUNGEN – Wittenberg 1809, Kassel 1870, Moskau 1872, Chicago 1893 TURIN 1911 (pomijam licznie widniejące medale). Całość uświetnia informacja o wyraźnie dumnym zabarwieniu: HOF LIEFERANT JHREN MAJESTAT D. KONIGEN MUTTER VON ITALIEN HOF LIEFERANT SEINER KONIGL HOHEIT D. GROSSHERZOGS V. HESSEN. (Co w wolnym tłumaczeniu na nasz język oznacza: KRÓLEWSKI DOSTAWCA JEJ MAJESTATU KRÓLOWEJ MATKI Z ITALII KRÓLEWSKI DOSTAWCA SWOJEMU KRÓLOWI HOHEITOWI GROSSHERZOGS Z HESSEN).

Wewnątrz, na metalowej płycie umieszczony jest obraz miasta Legnitz. Pianino pochodzi z 1849 roku. Tak w skrócie wygląda moje piękno – sentymentalny „życiorys” instrumentu, wzmocniony fragmentem życiorysu św. pamięci – Czesława Niemena.

To nie koniec jeszcze mojego duchowego bogactwa. Przed domem czeka na mnie zawsze „zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń”.

Dyktatura „niemowląt” powoduje, że „słońce nowej sztuki” wschodzi obecnie przynajmniej pięć razy dziennie. Są to jednorazowe akty „twórcze” pozbawione talentu, wręcz honoru. Jeżeli przysłowiowa w kraju „kozia wółka” organizuje imprezę, w nazwie której na pierwszym miejscu krzyczy określenie „ogólnopolski” lub „międzynarodowy”, to zamysł taki zaświadcza o braku szacunku dla sztuki i jej uczestników. Takie „jasne twórcze chwile” inspiatorów organizowanych widowisk świadczą o potędze ciemnoty. Przeświadczenie, że społeczeństwo to akceptuje jest karygodne. (Przecież nie każdy obywatel musi być głupi i chodzić ciągle w duchowych pampersach). Sztuka zakładania pampersów, tańca dyskotekowego, sztuka opalania się w solarium, sztuka zakładania i zdejmowania stringów, sztuka kochania bez kochania, sztuka wizaż, balejaż – to dopalacze pozoruujące prawdziwą sztukę.

Zgadzam się z powiedzeniem, że wielkie talenty pochodzą od Boga, małe – od diabła. Są jednak jeszcze ludzie, którzy wie-

rzą, że uderzywszy się książką w głowę i słysząc dźwięk pustoty – jest winą książki. Prawdą jest, że czuję się głupcem nawet po przeczytaniu wielu prac etycznych czy filozoficznych, ale idiotą bezbrzeżnym zostaje się – akceptując wszechobecny kicz udający sztukę.

Na zakończenie – w myśl „zasady pogładowości” – zilustruję to przemyśleniem z życia wziętym. Obserwując ludzi zwiedzających ZOO (ogrody zoologiczne), nie mogłem zrozumieć szczególnego zainteresowania określonym gatunkiem zwierząt. Zawsze są liczne grupy np. przy niedźwiedziach (bo ojciec, matka i dzieci mają po futrze), przy dzikach (bo ojciec, matka i dzieci są przy korycie), nawet przy zającach (bo ojciec, matka i dzieci mają dobre chody). Najdłużej jednak ludzie przebywają przy małpach (nie tylko dlatego, że ojciec, matka i dzieci mają gołe d.y., ale i ich zachowanie jest powszechnie akceptowane i bliskie). Widział kto jednak z Państwa tłum ludzi przy klatce z orłem? Ten zawsze jest sam! Zastanawia mnie tylko dlaczego orzeł (ten silny i dumny ptak), nie oczekuje ewentualnego widza i z odwróconą od niego głową wypatruje zagadkowej przyśrodości. (Dowód – Godło).

Nie jestem orłem, ale i nie jestem wroną kraczącą w określonym stadzie. Nie jestem też szympansem przeskakującym z jednego drzewa partyjnego na drugie. Nie jestem też politykiem, bo nie mam do tego głowy. Czuję się wolny i mimo wszystko autentyczny. Uważam tylko, że mam prawo wprowadzić korektę do słynnej myśli „Człowiek – to brzmi dumnie” i powiedzieć „Człowiek, brzmi – rozumnie”.

Chcę kochać cię bez zaborczości

Doceniać cię bez osądzania

Dołączać do ciebie nie będąc intruzem

Zapraszać ciebie bez domagania się

Odchodzić od ciebie bez poczucia winy

Krytykować cię nie oskarżając.

Tym sposobem staram się przekonać siebie i innych, że nie „życiorys”, nie piciorys” tylko poziom myślenia i odczuwania ma jakiś sens!

Mam też przekonanie, że ewentualna różnica poziomów w naszym społeczeństwie jest delikatna i subtelna, i że do głowy mi nie przyjdzie nazwać jej – przepaścią. Że moje otwarcie się przed Czytelnikiem przyjęte będzie na „plus”, a nie jako „krzyżyk”.

Klemens Rudowski, Słupsk

Honorowy Obywatel

15 sierpnia br. uczestniczyłem w uroczystej sesji Rady Miasta Ustka, podczas której społecznikowi, piekarzowi i numizmatykowi – Eugeniuszowi Brzósce wręczono tytuł Honorowego Obywatela Ustki.

Uroczystości rozpoczęto od odegrania hejnału miasta. Sesję poprowadził syn wyróżnionego, przewodniczący Rady Miasta - Adam Brzóska, od lat kontynuator rodzinnych pasji numizmatycznych. Wśród gości zaproszonych byli między innymi przedstawiciele: Marszałka Województwa Pomorskiego, posłowie ziemi słupskiej, delegacje samorządów, w tym starostwa, miast partnerskich, reprezentanci Cechów Rzemieślniczych, przyjaciele z towarzystw i organizacji społecznych, sąsiedzi i wczasowicze kurortu.

Przedstawiając uzasadnienie przyznania wyróżnienia, burmistrz Ustki Jan Olech powiedział: - Eugeniusz Brzóska urodził się w 1938 roku. Do powojennej Ustki przeprowadził się 20 maja 1945 roku i jest jednym z jej pierwszy mieszkańców. Niemalże od samego początku swojego pobytu w Ustce, związany jest z prowadzoną wraz z rodziną Piekarnią - Ciastkarnią. To uroczne miejsce jest niewątpliwie jedną z wizytówek miasta. Piękny i reprezentacyjny budynek, swoją architekturą nawiązuje do zabudowy starej Ustki. W 1998 roku otworzył miejsce magiczne i unikalne – Muzeum Chleba. To jedna z nielicznych tego typów placówek w Polsce, która każdego roku przyciąga rzesze turystów, promując Ustkę w Polsce i za granicą. W 2005 roku, wraz ze swoim sy-

nem Adamem, wydał bestsellerowy album „Ustka, jakiej nie znamy”. Zawiera on dziesiątki niepowtarzalnych pocztówek, ukazujących piękno tej przedwojennej nadmorskiej miejscowości. Dzięki temu wydawnictwu, udało się przybliżyć wspaniałe karty historii starej Ustki. Za swoje osiągnięcia na rzecz promocji miast, a w 2001 roku został uhonorowany nagrodą Ambadora Miasta Ustka. Statuetkę tę otrzymał ponownie w 2006 roku, tym razem za odnowiony budynek Piekarni. Pan Eugeniusz jest również laureatem aż trzech nagród przyznawanych przez Stowarzyszenie Rozwoju i Promocji Ustki. W 1999 roku otrzymał Honorową Kotwicę, w 2003 - Srebrną Kotwicę, zaś w 2005 roku - Złotą Kotwicę. Nagrody te otrzymują osoby, które w sposób szczególny przyczyniają się do promocji nadmorskiego kurortu. Pan Eugeniusz



Fot. Archiwum

jest również znanym i szanowanym społecznikiem, aktywnym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Ustki. Zawsze pogodny i uśmiechnięty, otwarty na drugiego człowieka, chętnie wspiera różnego rodzaju akcje charytatywne i organizacje pożytku publicznego. Życiowa jego postawa, dokonania i niegasnące zaangażowanie w promocję i rozwój miasta są najlepszymi dowodami na to, że w pełni zasługuje na tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ustka.

Aby wymogom stało się zadość odczytano podstawę prawną przyznania i nadania tytułu. Sala na stojąco brawami przyjęła decyzję Rady. Medal i dyplom wręczyli Honorowemu Obywatelowi członkowie Zarządu Miasta. Wzruszony, wyróżniony łamanym głosem powiedział:

- Szanowni Radni, Panie Burmistrzu, Zacni Goście! Z głębokim wzruszeniem i wielką radością przyjąłem ten piękny dar - tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ustka. Pragnę bardzo serdecznie podziękować władzom samorządowym za to niezwykle cenne dla mnie wyróżnienie. Chciałbym je rozumieć, jako szczególne uznanie nie tylko dla mojej skromnej osoby, ale dla wszystkich społeczników, którzy pielęgnu-

ją historię naszego miasta. Ten zaszczytny tytuł jest również wyrazem największego uznania dla całej mojej rodziny, moich przyjaciół i bliskich, którzy od samego początku wspierają mnie w realizacji inicjatyw służących rozwojowi mojej ukochanej Ustki. Zaufanie, którym mnie Państwo obdarzyliście, to nie tylko ogromna nobilitacja, to również wielka odpowiedzialność i mobilizacja do dalszego działania. Dlatego pragnę Państwu solennie obiecać, że wciąż będę szukał nowych pomysłów i inspiracji do działania. A wszystko po to, by nasza mała Ojczyzna nieustannie rozwijała się i stawała się coraz atrakcyjniejsza zarówno dla mieszkańców, jak i turystów. Raz jeszcze dziękuję.

Wśród gratulujących wyróżniania szczególnie serdecznie o koledze Eugeniuszu mówili samorządowcy. Stwierdzali, że „taki członek dla województwa, powiatu, miasta to prawdziwy karb”. Zanim każdy z obecnych sam pogratił laureatowi, ten z łzami w oczach podziękował małżonce Marii za to, że wspiera go w pasjach. Otrzymał kwiaty wręczył właśnie jej, bo ona, jak powiedział, jest głównym współtwórcą jego wyróżnienia.

A jak Honorowy Obywatel wpisał się do księgi pamiątkowej?

„Nie pytajmy się, co może zrobić dla nas Ojczyzna. Pytajmy, co my możemy zrobić dla niej”. Ta maksyma słynnego amerykańskiego prezydenta Kennedy'ego od zawsze jest dla mnie życiową wskazówką. A ukochana Ustka - moją małą Ojczyzną. Jestem dumny z tego, że jestem mieszkańcem Ustki, która ma piękną historię i tradycję. Czuję się szczęśliwym i spełnionym człowiekiem. Połączmy wysiłki, aby nasze miasto rozwijało się i jak magnes przyciągało nowe inicjatywy. W podziękowaniu za przyznanie mi tytułu Honorowego Ambasadora Miasta Ustka - Eugeniusz Brzóska

Składając koledze Eugeniuszowi gratulacje od braci numizmatycznej ziemi słupskiej, powiedziałem między innymi: - Szanowny Kolego. Jesteśmy dumni z Twojego wyróżnienia, gratulujemy, podziwiamy za wielkość Twojej kolekcji numizmatycznej, medalierskiej, za wspaniałe Muzeum Chleba, skromność, życzliwość i wytrwałość w pasji zbieractwa. Cieszy nas bardzo, że wychowujesz następców w zawodzie i zarazem innych swoją pasją.

Zdzisław Dróbka, Słupsk

Medale na 700-lecie Słupska

Jedną z form dokumentacji dziejów Słupska jest emitowanie medali pamiątkowych. Pierwszy, powojenny medal okolicznościowy nawiązujący do obchodów rocznicowych miasta wybito z okazji 650-lecia nadania praw miejskich w 1960 roku.

Nawiązując do tej tradycji, członkowie Oddziału Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Słupsku włączyli się do obchodzonego w tym roku 700-lecia miasta Słupska. Z własnej inicjatywy zaprojektowali i wyemitowali okolicznościowy medal, na awersie którego znajduje się wypukły stylizowany herb miasta, poniżej daty: 1310 - 2010. Nad herbem w pół otoku umieszczony został napis: 700-LECIE MIASTA SŁUPSKA. Na rewersie umieszczone są denary słupskie, w zewnętrznym otoku znajduje się napis: POLSKIE TOWARZYSTWO NUMIZMATYCZNE ODDZIAŁ SŁUPSK.

Projektantami medalu o średnicy 70 mm są Władysław Piotrowicz i Jan Radkowski. Siedem sztuk medalu wyemitowa-

no w srebrze, w mosiądzu patynowanym - 20, w mosiądzu srebrzonym - 10 sztuk. Wykonało go P.H.U. „Celstan” w Gdyni.

Oddział Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Słupsku współpracuje z Stowarzyszeniem Przyjaciół Ziemi Słupskiej. Nasi członkowie - niżej podpisani i Władysław Piotrowicz uczestniczyli w zaprojektowaniu pięciu medali wyemitowanych przez to stowarzyszenie dla upamiętnienia 700-lecia nadania praw miejskich Słupskowi. Na medalach tych przedstawiono dwa najstarsze zabytki miasta, dwóch honorowych obywateli Słupska oraz najstarszą panoramę miasta. Te medale także wykonało „P.H.U. Celstan” w Gdyni.

Przedstawiam szczegółowy opis wspomnianych wyżej medali. Na pierwszym, na awersie zamieszczono rycinę z panoramą Słupska z 1618 roku, znajdująca się na mapie Księstwa Pomorskiego, wykonaną przez E. Lubinusa. Nad nią w pół otoku jest napis: CIVITAS STOLPENSIS. Na rewersie, w centrum znajduje się wypukły, stylizowany herb Słupska otoczony gałązkami laurowymi. Powyżej umieszczono napis: SŁUPSK, w dole daty: 1310 - 2010. W otoku zewnętrznym jest napis: STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ ZIEMI SŁUPSKIEJ, 700-LECIE MIASTA.

Drugi i trzeci z medali poświęcono honorowym obywatelom Słupska - jeden Janowi Pawłowi II, drugi Heinrichowi von





Stephanowi. Na awersie tego pierwszego zamieszczono popiersie Papieża, wyżej w pół otoku napis: HONOROWY OBYWATEL MIASTA, niżej też w pół otoku napis: JAN PAWEŁ II. Na awersie drugiego: popiersie H. von Stephana trzy czwarte w prawo. Wyżej w pół otoku jest napis: HONOROWY OBYWATEL MIASTA, poniżej też w pół otoku napis: HEINRICH von STEPHAN. Na rewersie obu w centrum umieszczono wypukły, stylizowany herb Słupska otoczony gałązkami laurowymi. Niżej data: 1310 - 2010, wyżej napis: SŁUPSK. W otoku zewnętrznym napis: STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ ZIEMI SŁUPSKIEJ 700-LECIE MIASTA.

Na czwartym medalu na awersie zamieszczono gotycki zamek, który powstał w 1507 roku z inicjatywy księcia Bogusława X, a na piątym - Nową Bramę, która została wybudowana w II połowie XIV wieku. Na czwartym poniżej zamku w pół otoku, w dwóch wersach napis: ZAMEK KSIĄŻĄT POMORSKICH, na piątym też poniżej w pół otoku umieszczono napis: NOWA BRAMA. Na rewersach w centrum obu tych medalów, podobnie jak na poprzednich, jest umieszczony wypukły, stylizowany herb Słupska, otoczony gałązkami laurowymi. Poniżej są daty: 1310 - 2010, powyżej napis: SŁUPSK. W otoku zewnętrznym umieszczono napis: STOWARZYSZENIE

PRZYJACIÓŁ ZIEMI SŁUPSKIEJ, 700-LECIE MIASTA.

Wszystkie te medale są niesygnowane, zaprojektowali je: Władysław Piotrowicz, Grzegorz Rataj, Tomasz Urbaniak i niżej podpisany. Pierwszy ma średnicę 70 mm, pozostałe 5 mm i zostały wybite w srebrze (5 szt.), mosiądzu patynowanym (30 szt.) i mosiądzu posrebrzonym (10 szt.).

Członkowie Oddziału Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Słupsku są przekonani, że miasto będzie świętowało jeszcze wiele podobnych jubileuszy, a medale przypomną przyszłym pokoleniom, że godnie uczczono jego 700-lecie.

Jan Radkowski, Słupsk

Wojskowy medal z herbem Słupska

W tym roku Żandarmeria Wojskowa obchodziła dwudziestolecie powołania. Z tej okazji Oddział Żandarmerii Wojskowej w Gdyni wyemitował pamiątkowy medal z herbami miast, w których funkcjonują podległe mu Placówki Żandarmerii Wojskowej, w tym w Słupsku i Ustce.

1 września 1990 roku w Słupsku w ramach restrukturyzacji Sił Zbrojnych powstał Wydział Żandarmerii Wojskowej, który funkcjonował do 30 listopada 1994 roku. Z grudnia 1994 roku powołane zostały dwie Placówki Żandarmerii - w Słupsku i Ustce. 13 czerwca br. odbyły się uroczyste obchody Święta Żandarmerii Wojskowej w Oddziale Żandarmerii Wojskowej w Gdyni, w której uczestniczyli między innymi żandarmi, pracownicy wojska i rezerwiści z placówek Żandarmerii w Słupsku i Ustce. Przodującym żandarmom wręczono wówczas odznaki pamiątkowe z herbami miast, w których funkcjonują ich oddziały. (H. B.)



Pamiątki po Piłsudskim

Podczas obchodów (10.X) w Zespole Szkół Samorządowych w Kobylnicy 92. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę Jan Radkowski i Jerzy Henke z oddziału słupskiego Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego zaprezentowali na wystawie pamiątki związane z osobą marszałka Józefa Piłsudskiego.

Piłsudski obok Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego i gen. Józefa Hallera był jednym z najwybitniejszych Polaków, którzy najbardziej przyczynili się do odzyskania przez nasz naród niepodległości w 1918 roku.

Zaprezentowane na wystawie zbiory usystematyzowano i przedstawiono w trzech działach: Józef Piłsudski w medalierstwie, filatelistyce i numizmatyce oraz w literaturze polskiej. Każdy obiekt w wydzielonej części został opisany w kolejności chronologicznej – według dat powstania.

Niezwykle ciekawym fragmentem ekspozycji była pamiątkowa łopatką, którą pięcioletni chłopiec (Jerzy Henke) wspólnie z ojcem budowali w 1935 roku kopiec J. Piłsudskiego w Krakowie – Sowińcu.

Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem zarówno młodzieży szkolnej, jak i osób dorosłych. (J.R.)



Fot. J. Maziejuk

Strażak - kolekcjoner

Pan Mariusz Paprocki – zawodowy strażak z Ustki odkrył w sobie niecodzienną pasję - kolekcjonowania kart pocztowych, których tematem jest pożarnictwo.



Fot. J. Maziejuk

Jako już młody chłopak interesował się zbieractwem, ma w swoim dorobku niemałą kolekcję znaczków pocztowych,

naklejek zapalczanych, piwnych, zbierał wszystko co się nadawało do kolekcjonowania. Jednak najbardziej zaintere-

sował się kartkami pocztowymi o bliskiej mu tematyce. Najstarsze kartki datują się na rok 1959. Ceni sobie bardzo kartkę z roku 1995, wydaną w Warszawie z okazji Walnego Zjazdu Związków Ochotniczych Straży Pożarnych.

Wiele kartek pocztowych z tematyką pożarnictwa wydanych zostało przez Zarząd Główny ZOSPRP z okazji konkursów plastycznych dla dzieci; te kartki są bardzo wymowne w swojej treści. Wyszukuje je przede wszystkim przez Internet. Cieszy się bardzo, że nawiązał kontakt z kolegą z Czech, który wydał okolicznościową kartkę z polskimi samochodami zabytkowymi, będącymi kiedyś na wyposażeniu Straży Ogniowych. Ukazały się z okazji 50-lecia Straży.

Ubolewa nad tym, że jego rodzinne miasto, jakim jest Słupsk, ze swoją tradycją i historią pożarnictwa, nie wydało, poza jedną kartką z okazji 50-lecia Straży Pożarnej, więcej kart. W swoim zbiorze ma już około pięciu tysięcy kart uporządkowanych według dat i ułożonych starannie w albumach. Ma 1200 kart, na których widnieją nazwy miast i miasteczek.

Pan Mariusz nie ustaje w poszukiwaniach i stale powiększa kolekcję. Ma dopiero czterdzieści lat, więc wiele jeszcze przed nim. Ma nadzieję, że w przyszłości przekaze swoje zbiory synowi, który na razie z racji wieku (ma dopiero pięć lat) interesuje się tylko kolorowymi samochodami na kartkach.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk**

OBWODNICA SŁUPSKA - 2010



